RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



OŚWIETLONY ZAMEK VAJDA - HUNYAD W PARKU MIEJSKIM W BUDAPESZCIE.

WARSZAWA

ROK VIII GRUDZIEŃ—1934

ZE ŚWIATA RADJA

W POSZUKIWANIU RADJOSŁUCHACZA PRZECIĘTNEGO.

Znany uczony angielski, popularny publicysta i autor wydanej niedawno w Londynie książki p. t. „Głos i osobowość", zamieścił na łamach prasy angielskiej artykuł, poświęcony problemowi, nad rozwiązaniem którego pracują dziś wszystkie radjofonje. Tym problemem jest znalezienie właściwego oblicza przeciętnego radjosłuchacza. Prof. Pear pisze o tem między innemi co następuje:

„Codzień, bodaj bez przerwy, słowo żywe i dźwięki muzyki niesione na falach eteru, obiegają z szybkością zrozumiałą tylko dla matematyków, glob ziemski, a zapewne i inne globy. Technicy, kierownicy programowi, dyrygenci, dyrektorzy odczytowi, redaktorzy, drukarze, personel administracyjny, słowem — wszyscy odpowiedzialni za jakość audycyj, pracują dla jednego wspólnego celu. Aparatowi radjowemu chodzi o najlepszy wynik audycji pod względem technicznym, artystycznym i ideowym.

Zastanówmy się teraz, co składa się na jej treść? Ze stanowiska psychologa, każda transmisja jest prezentacją bogactw pracy ludzkiej w dziedzinie zjawisk duchowych i materjalnych, jest odbiciem życia. Muzyka, wiadomości, odgłosy wydarzeń, echa pracy ludzkiej, wydarzenia sportowe, sztuka — składają się na treść audycyj.

A teraz zapytam: ilu ludzi słucha tych transmisyj, kiedy słucha i których najchętniej? Na to nie umiem odpowiedzieć. Tego zresztą nikt nie wie z pewnością. Dokładnym wiadomościom od strony nadania, przeciwstawić wypada same tylko przypuszczenia, co do prawdopodobnej niewiadomej. Jest to wyjątkowa sytuacja organizacyj radjowych, ta praca dla „wielkiej niewiadomej", jaką jest rzesza radjosłuchaczy. Boć nawet handlujący papierosami wie, kiedy traci, a kiedy zyskuje, wszak szkoły egzaminują swych słuchaczy, aby dowiedzieć się o stanie ich przygotowania...

Broadcasting brytyjski zajmował się już tym problemem na kilku ważnych odcinkach swej działalności. Przeprowadzono szereg doświadczeń o znaczeniu laboratoryjnem, mianowicie próbowano znaleźć „przeciętnego radjosłuchacza" w zespołach słuchaczy, a więc, na terenie radjofonji szkolnej i w organizowanem słuchaniu grupowem. Te eksperymenty podziwiane były nawet przez zagranicę, która czerpała stąd wzory. Ale radjofonja brytyjska nie zadowoliła się rezultatami, uważając, że młodzież, słuchająca w szkole i grupy organizowane na mieście, nie dają jeszcze właściwej odpowiedzi na pytanie: jakie jest oblicze radjosłuchacza w domu prywatnym w godzinach popołudniowych, wieczornych i nocnych? Ci bowiem stanowią główną masę.

Rzadko kto z tych ludzi chce i ma sposobność wyrażenia swej opinji. Ja naprzykład, lubię słuchać schecherezady, muzyki Haendla, transmisyj z Targów Gęsich z Nottingham i t. p. Uważam się za słuchacza przeciętnego, a przecież nie mógłbym twierdzić, że wszyscy słuchacze przeciętni podzielają moje upodobania, o których zresztą nikt by się nie dowiedział, gdybym nie miał sposobności ogłoszenia ich drukiem. Z całem jednak prawdopodobieństwem rzeczywistości radziłbym pomnożyć mnie przez 15.000.000, aby otrzymać właśnie ową masę słuchaczy przeciętnych tak samo, jak ja myślących.

Zadowolony radjosłuchacz najczęściej nie pisze o tem, chętniej natomiast daje znać o swem niezadowoleniu. Stwierdziły to również radjostacje amerykańskie, czego świadectwem jest ciekawa książka Fridericka Lumleya p. t. „Measurement in Radio", wydana przez uniwersytet stanu Ohio w Columbus. Celem jej jest wskazanie dróg do analizy upodobań radjosłuchaczy. Książka traktuje nietylko o stosunkach amerykańskich. Lumley przeprowadza krytyczną ocenę usiłowań radjofonji odkrycia „prawdy leżącej pośrodku". Przedstawia w niej metody amerykańskie, poszukujące odpowiedzi na pytania: które audycje przemawiają do radjosłuchaczy najsilniej, — których słuchają najczęściej i najchętniej? — a wreszcie kiedy słuchają, jak długo i jak godzą słuchanie audycyj z pracami dnia powszedniego?

P. Lumley pisze, że Amerykanie posunęli badania nastrojów wśród radjosłuchaczy do granic dotąd niepraktykowanych: nie poprzestając na materjałach ze „skrzynek pocztowych", ankiet i statystyk, przeprowadzili tysiące rozmów ze słuchaczami bezpośrednio, a nawet telefonicznie, co naprzykład, w warunkach angielskich byłoby nie do pomyślenia. Gospodyniom domu zadawano nawet takie pytania: „Gdyby, z jakichkolwiek powodów, radjostacje przestały działać w ciągu pół roku, stratę jakich audycyj odczuliby państwo najbardziej"? Pytanie to nie jest najzręczniejsze, ale pocieszmy się, że gospodynie domu słyszą w ciągu dnia wiele mniej rozsądnych pytań. Więc i to, jak się okazuje, przyniosło pewne korzyści. Wielki wywiad amerykański z podziałem na rodzaje pytań w odniesieniu do warstw społecznych, pory roku, dnia i stref, dał Amerykanom obfity materjał, co jest zrozumiałe wobec faktu, że sieć radjofoniczna w Stanach ma aż 600 radjostacyj nadawczych.

Z książki Lumleya czerpać mogą wzory z dużem powodzeniem i radjofonje europejskie. Kwintesencją analizy, przeprowadzonej przez Lumleya jest, że tak zwanego radjosłuchacza przeciętnego niema. Jest to może odpowiedź niepokojąca, ale Lumley daje nam wyjaśnienie pocieszające, prowadząc do rozumowania, że przeciętność leży w typie audycyj dostosowanych do poziomu kulturalnego, stanowiska społecznego, uposażenia i zawodu radjosłuchacza. W grę wchodzą tu jeszcze godziny i pora roku, wreszcie t. zw. „oblicze chwili". Pozatem Lumley twierdzi, że analiza amerykańska przekonała o nieistnieniu tak zwanych „problemów regjonalnych", będących raczej sprawą techniki, a nie kultury.

W N. JORKU SŁUCHAJĄ WARSZAWY.

W tygodniku nowojorskim „Radjo Stars", niejaka Miss Hope Hale pisze o odbiorze stacyj europejskich, co następuje:

„Nie znajduję dość słów dla określenia tego wyjątkowego uczucia, jakie ogarniać musi każdego słuchacza amerykańskiego, odbierającegoo, jak ja, z wygodnego fotelu znakomite koncerty z Monachjum, melodyjne walce z Wiednia, cygańską muzykę z Budapesztu, subtelny dowcip z Paryża lub ciekawe odczyty w językach obcych z Barcelony, Amsterdamu, Kopenhagi, Warszawy i Rygii".

Miss Hale jest przyjemnie zdziwiona kilkuminutowemi przerwami, które stacje europejskie i stacja warszawska wprowadzają między poważniejszemi audycjami. Autorka artykułu pisze, że i ona rozumie te przerwy, jako podkreślenie wagi audycyj, stawiające transmisje europejskie pod tym względem wyżej od amerykańskich.

WILNU PRZESZKADZAŁA SAMARA.

Ciekawą informację zawiera sprawozdanie o odbiorze rozgłośni średniofalowych. Czytamy w niem taką uwagę, odnoszącą się do Wilna: „W naszym tygodniu sprawozdawczym odkryliśmy nową przeszkodę,

(Dokończenie na str. 3 okładki).

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł 700, 1/2 — zł 380, 1/4 — zł 200, 1/8 — zł 120, 1/16 — zł 70, 1/32 — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	zł. 7	Czechosłowacja	kor. cz. 40
Niemcy	Rmk. 5	Ameryka	dolary 1.50
Francja	frank. 25	Inne kraje	fr. szw. 7

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3.50 zł.; KWARTALNA — 2.00 zł. Cena POJEDYŃCZEGO numeru — 70 gr.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak.-Przedmieście 71.
Telefon: 240-15 P. K. O. 14-664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 11—1 przed poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA
MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
ROK VIII. WARSZAWA, GRUDZIEŃ 1934.



PRZY CHOINCE

BOŻE NARODZENIE

Faktem dziejowym, który więcej, niż jakikolwiek inny zaważył na losach ludzkości, dogmatem religijnym, który w ideologji chrześcijańskiej zajmuje jedno z pierwszych miejsc, głębokim symbolem życia duchowego, — oto czem jest dla nas Boże Narodzenie.

Jest coś niezwykłego w tem tajemniczem, budzącem rzewne uczucia wydarzeniu Nocy Betleemskiej, kiedy to Marja Dziewica „porodziła Syna Swego pierworodnego, a uwinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie".



Dokonywa się jedyny w swym rodzaju cud historji. W ubóstwie i ukryciu rodzi się Ten, który miał się stać najbardziej znanym, przez jednych umiłowanym ponad życie, a przez drugich znienawidzonym. Boski Założyciel Kościoła, twórca nowej religji i moralności, wzniosły ideał i cel życia!

Noc Betleemska — to początek tej ofiarnej, choć krótkiej pielgrzymki doczesnej Boga Syna, który rozpoczął „przechodzić przez życie, czyniąc d o b r z e". Przed dziewiętnastu wiekami „Słowo stało się Ciałem", by dokonać ekspiacji za winy człowieka, by podnieść i opromienić to, co cielesne, materjalne i ziemskie, by, znalazłszy się wśród ludzi, zaspokoić ich tęsknotę za Bogiem. Ubogie i nieznane, zagrożone przez zawiść ludzką w swem istnieniu, rozpoczęło Boże-Dziecię swą ziemską działalność, by wkrótce stać się największą potęgą duchową, która miała „odnowić oblicze ziemi".

Każda rocznica tego wielkiego cudu dziejowego budzi podniosłe refleksje. Bo wielkość i tajemniczość posiada właściwą sobie wymowę.

W liturgji Kościoła przygotowaniem do Bożego Narodzenia jest Adwent, który przypomina dawną tęsknotę ludzkości za Odkupicielem. Przyjście na świat Zbawiciela — to ukojenie tęsknoty religijnej, to święto pokoju i radości. Toteż Anioł „wielkie wesele" zwiastował pasterzom.

Tęsknota za pokojem religijnym, stanowiąca dominantę życia starożytności, jest prawem powszechnem, ogólno-ludzkiem.

Wszyscy tęsknimy za radością i pokojem. Religja — to pragnienie, to wyczuwanie własnej niewystarczalności, to świadomość wewnętrznych załamań, to potrzeba oparcia o Boga. Kościół naszej natury nie zmienia, ale tylko ją wspomaga środkami nadprzyrodzonemi. Tęsknimy za tym wymarzonym stanem, gdzieby nasze ideały duchowe nie były zagrożone przez wrogie im, acz nasze własne siły, gdzieby całe życie układało się w duchu bożych nakazów...

Codzienna rzeczywistość posiada inne oblicze. Życie jest walką. Każda chwila niesie z sobą nowe trudności, każda nowa forma tworzy się na gruzach dawnej i musi być okupiona wysiłkiem, a często cierpieniem.

Nic dziwnego, że osiągnięcie pokoju, choćby na krótki przeciąg czasu, napełnia nas radością i chcielibyśmy ją na nowo przeżywać.

Boże Narodzenie, niosąc radość i głosząc pokój, porusza tę czułą strunę naszej duszy. Pragniemy pokoju, szukamy go wszędzie i oczekujemy go od Tego, który o Sobie powiedział: „Pokój mój zostawuję wam, pokój mój daję wam". Radość świąteczna, przywodząc na pamięć wydarzenia ewangeliczne, rozsnuwa przed nami idealną wizję przyszłości, gdy doskonały pokój ducha stanie się naszym udziałem.

A drogę, wiodącą do pokoju i radości, wskazało nowonarodzone Boże-Dziecię. Ubóstwo, samozaparcie się, poświęcenie, prostota — te same cnoty ewangeliczne, które przemieniły życie i przetworzyły ludzkość.

Radość świąteczna, przypominając wielkie tajemnice religijne, wykreśla nam drogę postępowania. Droga do pokoju prowadzi przez walkę. Zwycięży świat ten, kto umie siebie samego zwyciężyć.

Dążąc do pełni życia, należy z własnego ziemskiego życia czynić ofiarę. Zdążając do szczęścia, musimy je opłacać szczęściem połowicznem, jakie nam chwila niesie. Budując człowieka duchownego, który będzie „dobrej woli" — należy opanowywać człowieka materjalnego.

Takie życie będzie służbą Bożą i drogą wewnętrznego pokoju ducha.

„Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!"

NOWE DROGI FILMU

Trudno jest dziś pomyśleć poprawę etyczną współczesnej kultury bez opanowania filmu. Zagranicą oddawna już zrozumiano i podjęto ten problem. U nas, niestety, stawiamy ledwie pierwsze kroki, jakkolwiek nie brakło głosów wzywających do zajęcia się filmem. Autor tych słów już jakieś dziesięć lat nawołuje do interesowania się filmem ze strony katolików.

Nie ulega przecież wątpliwości, że film jest jednem z najpocześniejszych narzędzi kultury. Niestety stało się dziś ono igraszką w rękach spekulantów chciwych na grosz. Powstał film zły, który sprowadza ogromne spustoszenie moralne. Wypada więc nam podjąć planową robotę filmową. Z jednej strony roztoczyć opiekę i kontrolę moralną nad obecną produkcją, czy to przez udział w komitetach cenzury filmowej, czy zwłaszcza przez wprowadzenie na łamy pism krytyki filmowej i urabianie opinji. A wreszcie pozostaje rzecz najbardziej zasadnicza: stworzenie oryginalnej, chrześcijańskiej produkcji filmowej.

W tej sprawie nie brak w ostatnich paru latach zachęty i ze strony najwyższego autorytetu w Kościele. Ojciec święty przejawiający tyle zrozumienia dla nowoczesnych zdobyczy techniki i stwierdzający to przez założenie watykańskiej radjostacji, zwrócił też uwagę na film. Razporaz w ostatnich latach zabiera głos w sprawach filmu, zachęca, poucza, daje wskazania programowe. W filmie wskazuje jedno z narzędzi Akcji Kat. w związku z międzynarodowym kongresem kinematografji wychowawczo-szkolnej i udziałem w nim katolików, Pius XI, wystosował obszerne pismo, w którem omawia cały problem. Po wstępie, kreślącym niebezpieczeństwa współczesnej kultury, Papież przechodzi do omówienia roli kina: „Kino staje się narzędziem największem i najbardziej skutecznem wpływu, bardziej nawet od prasy, na miljony swych widzów. Stąd zaś wynika, że jest rzeczą największego znaczenia, aby katolicy zajmowali się w sposób jak najściślejszy i najgłębszy, zwłaszcza przez Akcję Kat., zarówno stroną programową i wytwórczą, jak i krytyką na łamach prasy kat. w specjalnych rubrykach, poświęconych kinu...

Chodzi o to, by również i kino stało się środkiem inspiracji chrześcijańskiej najszerszych warstw społeczeństwa"...

Właśnie o to chodzi.

Tymczasem na naszym polskim terenie nie wiele się dotąd robiło. Pisma kat. mało się zajmowały krytyką filmową. Trzeba zaś wiedzieć, że na polskim rynku filmowym są wszyscy z wyjątkiem chrześcijan. Całe pośrednictwo handlowe w 100 procentach jest w obcych, niechrześcijańskich rękach. W takiej Warszawie niema np. ani jednego z prywatnych większych i średnich kin, które należałoby do chrześcijanina. Sytuację nie wiele ratują kina parafjalne (na 800 kin normalnych jest ich może 50).

W dziale wytwórczym nie jest wcale lepiej. Do tej pory nie mieliśmy ani jednej wytwórni, nastawionej na produkcję dobrych filmów. Nie znaczy to, żeby to miały być filmy ściśle religijne. Chodzi tu głównie o tendencję ożywiającą filmowy scenarjusz. A przecież film z ducha chrześcijańskiego ma zapewnione powodzenie, jak o tem świadczy długotrwałe wyświetlanie „Deszczu róż", francuskiej produkcji oraz polskiej „Pod Twoją obronę", wyprodukowanej przez „kapitał mieszany"

W tych warunkach nasze postulaty filmowe nie znajdują żadnego oddźwięku. Niezawsze spowodu złej woli, najczęściej spowodu ignorancji. Nic więc dziwnego, że rynek zalewają filmy mało-wartościowe, obliczone na sensację i częste żerowanie na najniższych instynktach. Opinja wcale nie reaguje. Brak u nas amerykańskiej „Ligue of disency", która podjęła bezwzględną walkę w sprawie rewizji produkcji amerykańskiej, nastawionej na filmy ze świata podziemnego i półświatka. Z amerykańskim iście rozmachem posypały się żywiołowe wprost protesty. W takiem Chicago 70.000 dziewcząt manifestowało przeciw niemoralnym filmom. Hasło, rzucone „non cooperation", wydało widoczne rezultaty. 60 procent kin musiało zamknąć swe podwoje, wobec tego, że na ich ekranach pojawiały się stale krwawo czy obleśnie sensacyjne filmy, a chwilowo nie miano ich czem zastąpić. W wytwórniach zawrzało jak w gniazdach os. Zdecydowano się nie puścić na rynek pięciu czy może siedmiu ostatnio nakręconych filmów, które zgóry w tych warunkach skazane były na moralną gilotynę. Zaczęto generalną „czystkę" filmów, które po odpowiedniej operacji przedstawiałyby się jakotako i mogłyby się pojawić. Zaczęto zmieniać zbyt jaskrawe tytuły.

Oto wyniki akcji Ligi w ciągu kilku miesięcy.



Portyk Salomona w świątyni jerozolimskiej, w filmie „Golgota".



Forteca „Antonia" z filmu Golgota.

Podobną akcję wszczęto również w Anglji.

We Francji oddawna już trwają prace na terenie filmowym. Wyprodukowano już cały szereg filmów religijnych, zwłaszcza osnutych na tle cudów w Lourdes. Przy „La bonne presse" istnieje specjalna centrala wypożyczania filmów, zwłaszcza milimetrowych do małych aparatów. Francuzi też biorą żywy udział w Międzynarodowym Instytucie Filmowym, który jednak większej aktywności nie przejawia. Na rynku filmowym zaznaczają się ostatnio Włosi, którzy nakręcili niedawno piękny film o „św. Franciszku z Assyżu". Oddawna już pracują na polu filmu Niemcy a również i Holendrzy. Powstała nawet wytwórnia, która rozwija produkcję zwłaszcza krótkometrażową.

Na szerokie tory kwestję produkcji filmowej wprowadzili niedawno Francuzi. Powstała placówka pod nazwą „Ichthys-film", początkowo z kapitałem zakładowym miljona franków. Kapitał ten ma jednak być podwyższony, zwłaszcza przez dopuszczenie kapitałów zagranicznych. Twórcą jej jest ks. kanonik Reymond, najbliższy współpracownik i doradca w sprawach filmu, zmarłego niedawno arcybiskupa Dubois. Studjował on przez długie lata zagadnienie filmu ze stanowiska katolickiego, brał udział w realizacji niektórych filmów.

Zdobyte doświadczenia zużytkował przy stworzeniu „Ichthys-filmu". Organizatorzy postanowili wystąpić z nowym neutralnym filmem, któryby im stworzył imię na rynku filmowym. Postanowiono nakręcić film „Golgota". Do jego realizacji zaangażowano dodatkowo w drodze subskrypcji kapitał 2 miljony dolarów. Bardzo szybko kapitał ten został zabezpieczony, ponieważ film zakupiono do siedemnastu krajów całego świata.

W zasadzie jednak „Ichthys-film" nie ma produkować filmów ściśle religijnych.

„Celem naszym — powiada kan. Reymond w wywiadzie prasowym — jest realizowanie dramatów, komedyj i wodewilów o atmosferze ideowej katolickiej, interesujących jednak szerszy ogół. Wszystkie te filmy będą musiały być pierwszorzędnej wartości artystycznej i technicznej, czysto kinowej".

Najzupełniej słusznie. Błędnem bowiem jest zdanie, że celem naszej wytwórczości są filmy dewocyjno-religijne. Tymczasem stanowią one tylko fragment całej pracy. Jeśli katolicy mają wywrzeć wpływ na X-tą muzę, wywołać przewrót w jej królestwie, to muszą objąć wszystkie dziedziny sztuki. Inaczej po krótkiej reakcji ultramontańskiej nastąpi powrotna fala, ludzie, nie znajdując wszechstronnej produkcji, poszukają jej gdzieindziej.

Bardzo ciekawą i piękną stroną Ichthys-filmu jest jego nastawienie społeczne. Wyraża się ono w tem, że film, który już spełnił swe zadanie handlowe i przyniósł przewidziany dochód, przechodzi skolei do służby społecznej, do instytucji dobroczynnych: szpitali, ochronek, więzień, gdzie już gratis pełni swą misję kulturalną i etyczną.

Pozatem Ichthys-film przejawia nastawienie międzynarodowe, w swym programie wytwórczym. Dążąc do spółpracy z poszczególnemi krajami katolickiemi. Tematy, mogące je specjalnie interesować, a które mo-

NIEBEZPIECZEŃSTWO SPORTÓW

Mimo tylu wartości życiowych i wychowawczych, krytyczny umysł musi dostrzec cały szereg niebezpieczeństw, łączących się naturalną koniecznością z ćwiczeniami sportowemi. I tak: urok, jaki posiada sport, pociąga, zwłaszcza młodzież, do czynów nierozważnych, skłania do przesady i przeceniania własnej siły i zdolności, co oczywiście grozi niebezpieczeństwem dla zdrowia, a nierzadko i dla życia. Nie chcemy bynajmniej twierdzić, że podejmowanie trudnych, niebezpiecznych wyczynów, jest moralnie niedozwolone, boć przecież śmiałość i odwaga są wielkiemi wartościami społecznemi, a wyrabiają się i kształtują w niebezpiecznych okolicznościach, potępić jedynie należy wyczyny sportowe dokonywane nierozważnie, z chęci pokazania się, z próżności, choć naprzód wiadomo, że stojące do dyspozycji siły, absolutnie nie wystarczają i prędzej czy później katastrofa staje się nieuniknioną. Stąd mimo swych wielkich walorów, sporty wymagają i sił moralnych, koniecznych do utrzymania pewnej ostrożności i miary. Podobnie jak w sztuce lekarskiej, i tu winna mieć zastosowanie znana zasada: Przedewszystkiem nie szkodzić, ale owszem wyciągnąć jak największą korzyść z ćwiczeń cielesnych.

Drugiem niebezpieczeństwem jest niezdrowa tendencja do *przeceniania* sportów, jakgdyby sprawność i wydajność fizyczna oznaczała wogóle podniesienie, ulepszenie człowieka we wszystkich dziedzinach wartości, a kultura ciała tworzyła całego człowieka. Rekordzistów, zwycięzców w zawodach stawia się wprost na ołtarze, ich przyjazdom i powitaniom towarzyszy histeryczna wprost egzaltacja, dzienniki drukują ich nazwiska tłustym drukiem, a tysiące listów miłosnych, skierowanych do nich, upaja ich i suggestjonuje, że są naprawdę „wielkimi". Nowoczesny sport stwierdza poniekąd paradoksalne twierdzenie Nietzschego, że „ciało jest wszystkiem, a dusza czemś podobnem, jak ręka na ciele". Taka jednostronność, odwrócenie należytego porządku celów i wartości, jako stałe nastawienie musi doprowadzić do ruiny. Piękno i siła nie są najwyższem prawem życiowem, a ćwiczenia cielesne nie zastąpią, kształcenia ducha i sztuki.

Tu leży też wielkie niebezpieczeństwo dla chrześcijańskiego światopoglądu i na tym terenie chrześcijaństwo i niewiara są w obecnej chwili w walce. Przesadna i fałszywa kultura ciała chce wedrzeć się jako światopogląd, jako nowe ujęcie życia, w którem ciało i zmysłowość wysuwają się na pierwszy plan przy zupełnem zaniedbaniu wartości duchowych. T. zw. neowitalizm, powiedzmy otwarcie, odrodzenie staropogańskiego zwyrodnienia, rozpływa się w apoteozie w uwielbieniu ciała i zmysłowości, stając w ten sposób naprzeciw światopoglądu chrześcijańskiego, który, nie zapoznając wartości ciała, zawsze podporządkuje je duchowi, i dąży do tego, by każda czynność ludzka nietylko nie abstrahowała od ducha, ale nim była przeniknięta i prześwietlona, zachowując w ten sposób naturalny i jedynie należyty porządek wartości. Kultura ciała — jak to słusznie zaznaczyli biskupi niemieccy w swych słynnych dziś „Leitsätze und Weisungen" w kwestji nowoczesnych problemów moralnych — nie może przerodzić się w kult ciała, który byłby ze szkodą dla kultury duszy.

W dzisiejszych warunkach cierpi też bardzo ze względu na zawody sportowe, urządzane zwyczajnie w niedziele i święta, wypełnianie obowiązków religijnych, a w szczególności obowiązku wysłuchania Mszy św. w niedziele i święta. Sport opanowuje prawie całą niedzielę i w ten sposób dzień duszy staje się dniem ciała, niezliczone masy ciągną na stadjony, stowarzyszenia, szkoły, rodziny biorą udział w wycieczkach, zabawach, które rozpoczynają się nieraz w sobotę wieczór, a w każdym razie o wczesnej porze w niedzielę, i młode pokolenie wdraża się coraz więcej w życie bez Boga, bez kościoła i bez skrupułów gwałci prawa

---

głyby zdobyć powodzenie na innych rynkach, mają szanse realizacji przy poparciu Ichthys-filmu. Dla polskiego rynku ma to wielkie znaczenie z uwagi na słabe dotąd możliwości produkowania katolickich filmów. (Przykładem może służyć beznadziejnie wlokąca się sprawa filmu o królowej Jadwidze).

Pierwszy produkt „Ichthys-filmu" — „Golgota" wchodzi na polskie ekrany w grudniu bieżącego roku, w marcu zaś roku przyszłego wejdzie wersja polska, wykonana przez reż. Gantkowskiego.

Czemże jest „Golgota"?

Zajmijmy się chwilowo stroną organizacyjną tego filmu.

Ideą filmu jest wykazanie triumfalnego postępu ideji Chrystusowej poprzez wiek. Scenarjusz ułożył wspomniany kanonik Reymond, który współpracował przez lata pod kierownictwem arcybiskupa Dubois w organizacji katolickich kongresów międzynarodowych sztuki filmowej.

Wykonanie filmu powierzono reżyserowi Julien Duvivier, zaszczytnie znanemu z szeregu pierwszorzędnych dzieł o rozległej skali od dramatu do komedji, takich jak „Niepotrzebne dziecko", „Hallo! Paryż!", „Dawid Golder", a także szeregu filmów religijnych, jak „Tragedja w Lourdes", „Agonja Jerozolimy". Asystentem reżysera jest znany publicysta Jean Stelli, współpracujący z nim już od r. 1922. Zadanie reżysera było ogromne jeśli się zważy, że w grę wchodzą siedmiotysięczne tłumy, które trzeba było poruszyć w czasie Niedzieli Palmowej i Wielkiego Piątku, nie mówiąc o świetnej obsadzie ról czołowych, że dekoracje, wznoszone w ciągu ośmiu miesięcy pod kierunkiem architekta Perriera, twórcy oprawy malarskiej do „Nędzników", zajmują przestrzeń 10 kilometrów i obejmują wszystkie epoki i style.

Plenery filmu trzeba było nakręcić w Algierze. Udało się tam znaleźć miejsce odpowiednie na wzniesienie świątyni Jerozolimskiej. Niektóre mury mają do 17-tu metrów wysokości, kolumny po 30-ci. Trzeba było odbudować ze wszystkiemi szczegółami twierdzę Piłata Poncjusza, Antonję, oraz słynny portyk Salomona, wsparty całym lasem kolumn, ściśle według dokumentów. To wszystko daje niejakie pojęcie o ogromie wysiłku i trudnościach, jakie pokonano. Mówi o tem w swej książce. „Jak nakręcono Golgotę" sam kanonik Reymond, doskonale władający piórem. Niedługo polska publiczność będzie miała możność zapoznania się z owocem jego wysiłków i inicjatywy.

kościelne. Charakterystyczną jest rzeczą, że kilka niemieckich związków gimnastycznych zwróciło uwagę na to nadużycie, wychodzące z założenia, że związek gimnastyczny ma na celu nietylko cielesne wychowanie, ale pielęgnowanie i popieranie życia rodzinnego i pogłębienie duchowe, a wypełnienie tych zadań zostało uniemożliwione przez zburzenie świąt chrześcijańskich. „My chcemy dobra naszego narodu i dlatego nie możemy ścierpieć, by życie wypełniała tylko praca, odpoczynek i zabawa, potrzebujemy czasu, spokoju, ciszy“ — oto ich znamienne słowa.

I obowiązki w innych dziedzinach życia często ulegają zaniedbaniu przez sport, który potrafi tak owładnąć młodym człowiekiem, tak opanować jego myśli i uczucia, że poza sportem nic go nie obchodzi. Nieraz ta gonitwa za uzyskaniem największej liczby punktów, oddanie się wyłącznie sportowi, jakgdyby nie istniały poza nim wyższe wartości, prowadzi wprost do ogłupienia. Ileż to razy spotyka się młodych, którzy tylko o sportach, wyczynach i rekordach rozprawiają, dla których każdy dzień wolny od zajęć należy wyłącznie do sportu, i dla których ideałem są tylko rekordziści. W ten sposób wyrabia się typ człowieka, zacieśniającego pierwiastek ludzki do najlepszego wyczynu i siły fizycznej. Podnieca zaś i utwierdza w tem mniemaniu prasa, poświęcająca, całe szpalty sprawozdaniom o meczach piłki nożnej czy zapasów atletycznych, a zaledwie parę wierszy pracy cichych uczonych i badaczów. Nie dziwi nas tedy, że coraz częściej mówi się o psychozie sportowej, ogarniającej nietylko jednostki, ale i zrzeszenia ludzi.

Gdy zaś sport nie znajduje koniecznej równowagi w poważnej kulturze duszy i sam jeden jest celem i treścią życia, prowadzi prawie zawsze do pewnego zdziczenia, a conajmniej do szorstkości i bezwzględności, czy brutalności. Sport dąży do liczby i rekordu, a w tych warunkach osiągnięcie pewnej liczby punktów czy rekordu odbywa się często bez oglądania się na jakiekolwiek inne wartości. Zwłaszcza sfera uczuciowa jest zupełnie wyeliminowana, a po usunięciu wartości emocjonalnych pozostaje człowiek niepełny, jednostronny, o dzikiem, brutalnem usposobieniu. Obserwujemy to zjawisko na stadjonach i placach sportowych, zwłaszcza, gdy trybuny dają wyraz swemu podziwowi, podniecają zawodnika, i wprawiają go wprost w wściekłość, której konsekwencją są niesmaczne kłótnie, bezwzględność, a nierzadko brutalność.

Że sport, szczególnie ten ekstremistyczny, złączony jest z wielu niebezpieczeństwami moralnemi, o tem wiedziano już w starożytności. Arystoteles wyrzucał Spartanom, że wychowują swych młodzieńców w dzikości i że ich kobiety oddają się rozpuście. Plato i Plutarch widzą w gimnazjach, pałacach i stadjonach główne źródło pederastji, a wiadomą jest rzeczą, że Polykrates kazał specjalnie zamknąć hale do ćwiczeń cielesnych, by w ten sposób zapobiec występkom. Nie kto inny, jeno Eurypides sam wygłosił te ostre słowa: „W Attyce jest dużo złych ludzi, ale najgorszymi są atleci“. Nowoczesne życie sportowe jest też bardzo przesiąknięte momentami erotycznemi i z rozmaitych względów. Naprzód tak bardzo rozpowszechniona dziś przesada w sportach, prowadzi z konieczności do ogólnego wyczerpania i osłabienia, a temsamem do wielkiej pobudliwości nerwowej. Osłabione zaś nerwy są bardzo podatnym gruntem dla wrażeń seksualnych.

Te moralne niebezpieczeństwa wzmagają się przy wspólnych ćwiczeniach mężczyzn i kobiet, i jak dowodzą fakty, wielu uprawia sport właśnie dla celów zmysłowych. Towarzysząca ćwiczeniom cielesnym romantyka i sentymentalność, nietylko niszczy dodatni wpływ sportu, ale osłabia i nieużytecznym czyni dla życia praktycznego. Pozatem dzisiejsze stroje kobiece sportowe, lekkie i zwiewne, dostosowane do nieobyczajnej mody, nie mogą pozostać bez wrażenia na młodym umyśle, i tak już z natury swej skłonnym i pochopnym do emocji w kierunku seksualnym. Twierdzenie, jakoby przy wspólnem obcowaniu i uprawianiu ćwiczeń cielesnych przytępiała się wrażliwość seksualna może mieć pewne usprawiedliwienie, ale są to wypadki sporadyczne, a pozatem nakazem etyki chrześcijańskiej nie jest *przytępienie*, ale *opanowanie* strony zmysłowej, a droga do opanowania nie prowadzi przez mnożenie okazyj, których i tak dość dostarcza życie jako takie.

I jeśli twierdzeniu, że sport jest nowym punktem wyjścia dla lepszego porozumienia się mężczyzny i kobiety, a temsamem podstawą szczęśliwych małżeństw, można przyznać pewną rację, to tylko pod warunkiem, że wspólnie uprawiany sport weźmie pod uwagę właściwości fizjologiczne i różnicę anatomiczną płci, a przedewszystkiem ustali swą granicę w ten sposób, by zbliżenie i przestawanie z sobą obu płci nie działo się ze szkodą zasad moralnych i służyło faktycznie zdrowiu narodu, a nie jego dekadencji.

Pozostaje nam jeszcze do omówienia stosunek Kościoła do sportów, temwięcej, że ogólnie panuje przekonanie, jakoby Kościół niechętnie spoglądał na nowoczesne sporty, rzekomo nie godzące się z jego nauką i poglądem na ciało.

Tu przedewszystkiem musimy zaznaczyć, że, według filozofji, opartej na światopoglądzie chrześcijańskim, ciało jest organem życia duchowego i moralnego człowieka i ono wraz z duszą tworzy dopiero całego człowieka, według Objawienia jest ono jeszcze świątynią Ducha św. i już z tych względów nie może być w pogardzie w nauce chrześcijańskiej, a kultura ciała jest obowiązkiem moralnym chrześcijanina. Wprawdzie Pismo św. nie podaje specjalnych wskazówek, dotyczących kultury ciała, lecz to nas dziwić nie powinno, bo naprzód jego cel jest inny, a mianowicie ekonomja zbawienia, a powtóre tak naturalną jest rzeczą dla człowieka troska o ciało, że nie potrzeba było ubierać ją w formę specjalnego nakazu moralnego. A wreszcie czasy dawniejsze nie nakazywały przypominania i akcentowania tego obowiązku, skoro nie było jeszcze wielkich miast z ich dzisiejszemi warunkami, a praca zawodowa odbywała się przeważnie na świeżem powietrzu, lub w małych warsztatach. Przytem i wiedza medyczna w średniowieczu była dopiero w swem początkowem stadjum, a przepisy higjeniczne tak prymitywne, że dziś śmiesznemi się wydają.

Tem niemniej problem kultury ciała nie jest tylko problemem higjenicznym, ale i doniosłym problemem moralnym. Higjena i moralność stoją tu w bardzo ścisłym związku, i ta pierwsza — jest matką higjeny, a wśród wielu przepisów moralnych specjalnie 6 przykazanie w chrześcijańskiem ujęciu jest wspaniałym hymnem na cześć higjeny jednostek i narodów. Łączności tej trudno zaprzeczyć, jeśli się weźmie pod uwagę znany fakt psychologiczny, że rozumna kultura ciała zależna jest w należytej formie.

Już w starochrześcijańskiej literaturze znajdujemy nietylko uznanie dla wartości ciała, ale pełne zrozumienie ćwiczeń cielesnych. Wszak w III wieku po Chrystusie Klemens Aleksandryjski w swem Pedago-

gu, godząc rozumne wymagania kultury cielesnej z dążeniem do doskonałości, wyraźnie zaleca młodzieńcom ćwiczenia gimnastyczne, gdyż te — jak mówi — przynoszą korzyść nietylko zdrowiu, ale budzą zapał i szlachetny pociąg nietylko, by mieć zdrowe ciało, lecz i zdrową duszę. Wielki Augustyn święty walczy z manichejczykami i neoplatonikami, których nauka wyraża się w pogardzie ciała i materji; wyraźnie stwierdza, że wszystko, co zostało stworzone przez Boga jest dobre, a siła, piękność i kwitnące zdrowie są wielkiem dobrem. Uznaje też i pochwala zabawy, kąpiele, ćwiczenia cielesne, wzmacniające siłę ciała, nadające mu gibkość i jędrność. Że w ciągu wieków niektórzy z ascetów, czy to fałszywie tłumacząc słowa Pisma św., czy też w przesadnem umartwieniu, zaniedbywali ciało, do tego przyznajemy się otwarcie; nawet o jednym z apostołów, św. Jakóbie, opowiadają że nigdy nie strzygł włosów, ani nie używał kąpieli, ale z faktów tych sporadycznych nie wolno wysnuwać wniosku, że chrześcijaństwo i Kościół ponoszą winę za te fałszywe poglądy i nie mają zrozumienia dla ciała.

Prawdą jest również, że moraliści katoliccy mało poświęcali miejsca omówieniu obowiązku kultury ciała, choć są wyjątki pod tym względem, lecz niemniej prawdą jest, że zasadnicze myśli zdrowej kultury ciała chrześcijaństwo ustaliło, zanim jeszcze materjalizm rozwinął swój program higjeniczny.

Kościół też rozumie i młodzież dzisiejszą, cieszy się jej pędem do naturalności, do sportów i zabaw i, jeśli napomina nieraz, gani i zabrania, to jedynie z miłości dla młodzieży, bo Kościół chce rozwoju osobowości mocnej i o silnem charakterze, której ciało służy duchowi, osobowości przygotowanej i uzbrojonej do ciężkich zadań dzisiejszego życia.

Papież Pius X przyjął w październiku 1905 roku na solennej audjencji katolickie związki sportowe i gimnastyczne, wziął udział w ich zawodach i wygłosił mowę, w której zaznaczył, że „młodzi ludzie powinni ukochać sport, gdyż on i ciału i duszy pożytek przynosi". Są to słowa — jak wyraził się o nich biskup Keppler — pełne praktycznej mądrości i w duchu św. Filipa Nereusza, którzy wraz z niedawno kanonizowanym Don Bosco byli gorącymi miłośnikami sportów. Przy innej znów okazji w roku 1908, 26 września, tenże sam papież mówił do młodzieży: „Pochwalam i błogosławię wasze ćwiczenia... bo gdy oddajecie się zabawom, niema miejsca na próżniactwo, początek wszystkich grzechów".

Papież Pius XI w młodszych latach uprawiał sport górski i był sławnym alpinistą. Dość wspomnieć, że jako pierwszy Włoch wszedł na Monte Rosa (4.673 m) od włoskiej wschodniej strony, na co potrzeba było 12 godzin ciągłego wspinania się przez piargi i lodowce. Był też na górze św. Bernarda, Gotharda, na Montblanc (4800 m), przez kilkanaście lat spędzając swe ferje w Alpach.

Istnieją towarzystwa sportowe i gimnastyczne i Kościół przeciwko nim nie występuje, owszem błogosławi, poświęca stadjony, boiska, pozwala na specjalne nabożeństwa polowe, i cieszy się, bo wie dobrze o tem, że „mens sana in corpore sano".

Ale tenże sam Kościół, jako stróż moralności i autorytawny obrońca nienaruszalnych praw moralnych, naturalnych i pozytywnych, nie może aprobować bez zastrzeżeń sportu takiego, jakim często jest w dzisiejszych czasach. Zwyrodniały naturalizm i niechrześcijański duch, pierwszy jako neopogańska tendencja, dla której obyczajność, czystość są tylko czczem pojęciem, a celem bezduszna kultura nagości, drugi, depcący prawa kościelne, grzebiący prawodawstwo z góry Synai i głoszący przynajmniej praktycznie wolność od wszelkich norm moralnych — nie znajdą nigdy nawet milczącej aprobaty, gdyż odwracają porządek wartości, podyktowany naturą samą, a więc godzą w plany samego Stwórcy, a temsamem prowadzą do dekadencji tak, że to, co miało być środkiem odrodzenia i siły narodu, słabości i upadku będzie zarodem.

W Siennie raz w roku pokrywają marmurową posadzkę kościoła deskami, bo oto zwycięzca w zawodach konnych wjeżdża na swym koniu do świątyni, i staje przed wielkim ołtarzem. Siedząc na koniu, wysłuchuje uroczystej Mszy św. Zwyczaj ten w mieście św. Katarzyny głosi wymownie, że sport świata i pobożność Kościoła są zarówno dziełami tego samego Boga. Lecz tylko wtedy, gdy człowiek dzieła Bożego nie zepsuje, a więc gdy sport nie będzie sam dla siebie celem, ale środkiem do celu, gdy wszystkim doczesnym poczynaniom przyświecać będą wartości wieczne, tak, jak je głosi nieutrudzony rozum ludzki i Objawienie Boże.

Wśród nocnej ciszy...

Wśród nocnej ciszy, przez łąki, pola,
idzie samotna człowiecza dola!
Na śpiące chaty, na niskie strzechy
kładzie kolejno łzy i uśmiechy,
roztacza w koło habit swój mniszy —
wśród nocnej ciszy!
Wśród nocnej ciszy, w świętej godzinie,
radosne „gloria" po świecie płynie!
U Matki Boskiej i u Jej Syna
lud wierny kornie kolan zgina,
a każde serce wdzięcznością dyszy —
wśród nocnej ciszy!
Wśród nocnej ciszy, po całym świecie
chodzi Jezusik, Marji Dziecię,
chodzi po świecie i Swą rączyną
łzy ludzkie zbiera, gdy z oczu płyną —
i każdą prośbę, każdy szept słyszy
wśród nocnej ciszy!

Kolęda

Witaj gościu, pożądany
od tysiąca lat!
Ty zbratałeś wszystkie stany
przyjściem Swym na świat!

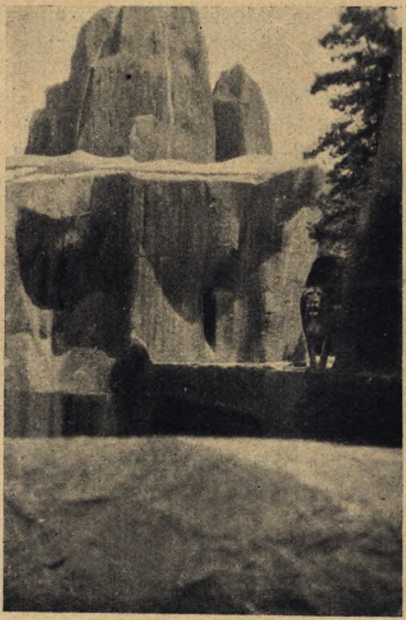
Król czy pastrez, pan czy sługa,
wielbią Twoją moc,
wiąże ich wędrówka długa
w przenajświętszą noc!

Jednakowy ból ich, Panie,
jednakowe łzy,
i jednakie miłowanie
w wszystkich sercach drży.

Odkąd gwiazda lśni na niebie,
wieszcząc święty cud,
jednakowo wielbi Ciebie
cały polski lud!

Gill.

CZWORONOŻNI



Oryginalny „apartament" skalny lwów.

Cuda światowej wystawy kolonjalnej w Paryżu w 1931 r. dawno już zniknęły z powierzchni ziemi, „pogrążyły się w niebycie". Prysła czarodziejska baśń świateł, kolorowych fajerwerków, szemrzących srebrzyście fontann i wodotrysków; rozwiały się dymy kadzideł, rozpadły w nicość dziwaczne budowle, szałasy egzotycznych ludów, bajeczne pałace i pełne przepychu bałwochwalcze świątynie.

W lasku Vincennes, jednej z odleglejszych dzielnic Paryża, w otoczeniu drzew i pobliżu niewielkiego jeziorka, na którem w niedziele i święta wiosłują spragnieni wytchnienia i złudy „week-endu" paryżanie — pozostała jedna tylko wystawowa pamiątka: ogród zoologiczny, stworzony specjalnie dla wystawy kolonjalnej.

Egzotyczne zwierzęta i ptaki, sprowadzone czasowo do nowego Zoo z najdalszych wysp i krajów, należących do imperjum kolonij francuskich, po zamknięciu wystawy, częściowo rozproszyły się znowu po świecie, garstka zaś „niedobitków" pozostała w Paryżu.

Zdawałoby się, że ta „efemeryda" Zoologu skazana jest zgóry na zupełną zagładę. Paryż posiada od lat bogaty w liczne okazy ogród zoologiczny o ustalonej sławie i możnaby w nim z łatwością pomieścić nowych gości; wychowankowie Zoo — lwy, małpy, foki czy niedźwiedzie czują się przecież jednakowo we wszystkich ogrodach zoologicznych świata: jednakowo źle i smutno...

Jakoś jednak Zoo w lasku Vincennes przetrwało na swojem miejscu i co więcej, stało się jednym ulubionych spacerów Paryża. W czem tkwi więc tajemnica jego powodzenia?

Na pytanie to, odpowiedź nasuwa się sama — gdy rzucić okiem na położenie i wewnętrzne urządzenie tego ogrodu, który właściwie — ogrodem nie jest.

W pewne słoneczne południe lipcowe znalazłam się przypadkowo na skraju lasku Vincennes. Od jeziora wiał miły, orzeźwiający powiew—wśród drzew, okrytych zielenią uderzały barwną plamą dwa kioski, wzniesione obok siebie u bramy wejściowej do Zoo.



Małpie igraszki na gałęziach.

Gromada dzieci z piskiem i hałasem wybierała właśnie w kiosku pocztówkowe wizerunki czworonożnych ulubieńców, „znajomych" małpek i niedźwiadków, rzucając przytem łakome spojrzenia na rozłożone na ladzie słodycze — cukierki i apetyczne, różane i czekoladowe nugaty — ulubiony przysmak paryskiej dzieciarni.

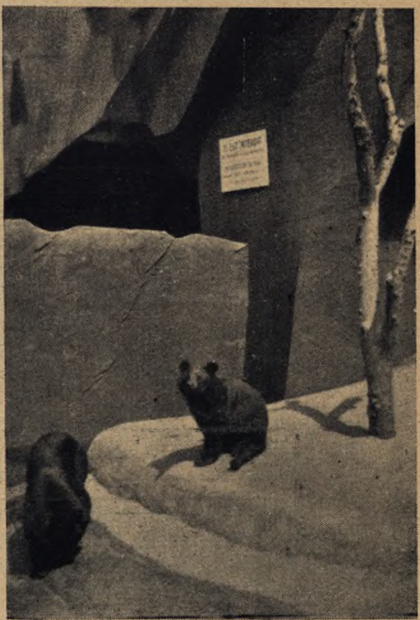
Dzień był wyjątkowo upalny, słońce prażyło nielitościwie, śląc żywy ogień z nieba. Mimowoli nasuwała się myśl, jaką mękę przeżywać muszą w takim dniu biedne zwierzęta, ofiary ciekawości ludzkiej, ściśnięte w dusznych, ciasnych klatkach, spoglądając z tęsknotą w wycięty żelazną kratą kwadracik nieba...

I oto — miłe rozczarowanie. Ogród zoologiczny w Vincennes — nie ma klatek. Niema tam ani jednego niemiłosiernego „pudełka" z kratkowaną, nieustępliwą ścianą, z poza której spoglądają na nas z niemą skargą cierpiące oczy zwierzęcia, o którą biją boleśnie skrzydłami królowie ptactwa: orły i sępy. Niema krat, niema zamknięcia; jest poprostu rozległa przestrzeń, zalana słońcem, nakryta błękitem, sztuczny wprawdzie, lecz malowniczy krajobraz piaskowcowych, fantastycznych zboczy i grot skalnych, wśród których przeświecają zdala wody sadzawek o zmarszczonej fali.

Na samym wstępie wita królowa ogrodu — lwica. Jej mieszkanie — to rozległy, płaski taras skalny i obszerna grota, mieszcząca się w wysokiej skale o malowniczych załamach korony.

Żadnego odgrodzenia od publiczności, parkanu, krat, ani prętów — tylko ta ogromna płaszczyzna tarasu na wysokości człowieka, przestrzeń, którą lew może przecież przebyć jednym skokiem.

Lwica wygląda najpierw zza skały filuternie, jednem okiem, jakby chciała zapytać: kto tam? Potem wysuwa złocisty łeb i zjawia



Brunatne niedźwiadki przed ranną toaletą.

GOŚCIE PARYŻA

się w całej okazałości: wyprężona, dumna, szlachetna. Nie wiem, czy to złudzenie, ale wydaje mi się wcale niepodobna do lwów zamkniętych w klatkach.

Tamte są złe, lub zrezygnowane, pełne buntu i rozpaczy lub zastygłej boleści i upokorzenia. Ta lwica natomiast, tchnie królewskim majestatem; — patrzy spokojnie i dumnie prosto w oczy ludzkie, nieoddzielone kratą — bez jednego drgnienia, niewrażliwa nawet na objektyw fotograficzny. Sprawia wrażenie, jakby udzielała łaski, że „raczy“ się pokazać natrętom i najwyraźniej czuje się niepodzielną władczynią w swojem skalnem królestwie.

Nieopodal lwów baraszkuje na gałęziach drzewa i piaskowcowych załomach stado małych, zabawnych małpek. Jedna „para“ tuli się wzajemnie w objęciach, jak zakochani po długiem niewidzeniu, inne skaczą, gonią się i przewracają, rzucając niespokojne, świdrujące spojrzenia w stronę widzów: nieme pytanie, czy dostaną coś do schrupania.

Z małpami sąsiadują brunatne niedźwiadki, które malowniczo upozowały się do fotografji. Trudno byłoby nie skorzystać z takiej okazji... Natychmiast po „pstyknięciu“ aparatu, skaczą razem, jak na dany sygnał do swej „łazienki“

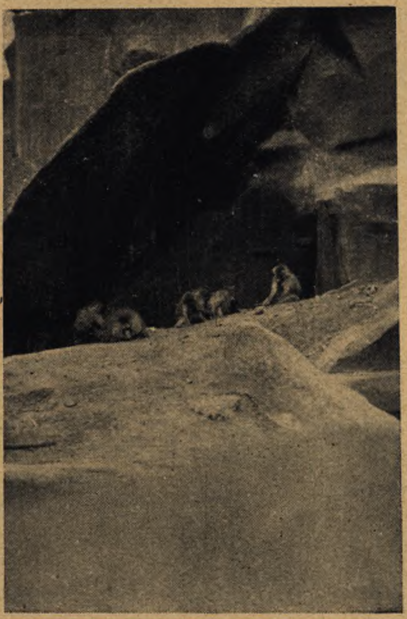


Łabędzie na sztucznej sadzawce.

orzeźwić się trochę. Zabawnie obejmują się łapami i mocują w wodzie — takie improwizowane zapasy bokserskie, sędziowane pewnie przez trzeciego niedźwiedzia, który obserwuje tę scenę ze śmiertelną powagą, usadowiwszy się wygodnie na skalistym stopniu.

Na błękicie nieba odcina się ciemno-żółtym trójzębem szczyt najwyższej skały, pod którą królują niepodzielnie na gładkiej tafli sadzawki białe łabędzie.

Tkwią prawie nieruchomo na wodzie, jak puszyste kule śniegu, które niewiadomo jakim cudem

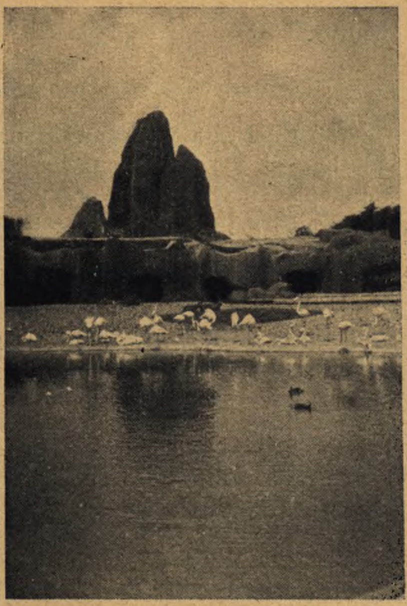


Małpy lubią żyć w gromadzie.

znalazły się wśród tego pseudo-pustynnego krajobrazu.

W senną, rozleniwioną żarem ciszę wdziera się nagle chrapliwe szczekanie fok; — dopominają się ze złością o ryby, których im ciągle zamało. Łykają jedną po drugiej jak pigułki i skaczą wyprężone w górę po nową zdobycz, odbijając się od wody jak gumowe piłki. Są złe, wiedzą, że się je drażni umyślnie, podnosząc rybę coraz wyżej, ale nie rezygnują i skaczą wytrwale po kilkanaście razy, jedne zręczniejsze od drugiej, poczem znikają momentalnie pod powierzchnią wody.

Foki są pokrzywdzone, gdyż mają bardzo mały basen i obijają co chwila o siebie śliskiemi, potężnemi cielskami.



Dumne różanonogie flamingi chętnie spacerują w słońcu.

Najpiękniejsze królestwo przypadło w udziale — flamingom. Mają największe jeziorko o nieskazitelnej, przezroczystej powierzchni, żwirowany placyk do spaceru, po którym przechadzają się zwolna na swych wysokich, arystokratycznych nogach, połyskujących różowo jak cenny atłas.

Tuk obok rozstawione są kolorowe, cieniste parasole ogrodowej kawiarenki, w której można dostać tylko... czekoladowe lody lub piwo. Panie zajadają lody, panowie spijają białą pianę piwa z kuflów, na których widnieje malowana głowa tygrysa z wyszczerzonemi kłami.

W dobroczynnym chłodzie parasola można dowoli sycić wzrok żywym, piękniejszym od malowanego farbą obrazem flamingów, roztaczających krasę śnieżystych piór i kolorowych dziobów na tle żółtej ściany skalnej i nieskażonego żadną chmurką nieba.

Jest cicho, słonecznie, kolorowo. Zwierzęta i ptaki czują się tu dobrze — o ile to możliwe zdala od ich ojczyzny — i zawierają ze sobą na wspólnem wygnaniu szczere braterstwo: świadczy o tem wyciągnięta przyjaźnie długa szyja żyrafy, która właśnie ociera poufale pysk o... dziób wyleniałego już trochę weterana-strusia.

Spacerują razem zgodnemi, wielkiemi krokami długich nóg i zachowują się tak, jakgdyby przyjaźń strusia i żyrafy była rzeczą najzwyklejszą w świecie...

A. Orzechowska.

DZWON

Mała parafja w Lande-Fleurie miała stary dzwon i starego proboszcza. Dzwon był pęknięty do tego stopnia, że dźwięk jego przypominał kaszel starej kobiety, bardzo przykry w słuchaniu, co zasmucało rolników i pasterzy, rozproszonych po polach.

Proboszcz — ks. Corentin był sobie jeszcze niczego pomimo swoich lat siedemdziesięciu pięciu. Miał on twarz dziecinną, pomarszczoną ale różową, okoloną białemi włosami, podobnemi do kądzieli, którą przędą poczciwe kobiety z Lande-Fleurie. A przez owieczki swoje był uwielbiany spowodu dobroduszności i wielkiego miłosierdzia.

* * *

Gdy zbliżał się pięćdziesiąty rok kapłaństwa ks. Corentin, parafjanie postanowili ofiarować mu odpowiedni prezent, żeby uczcić ten jubileusz.

Trzech kwestarzy obeszło pokryjomu wszystkie domy, a gdy zebrali sto talarów, zanieśli je proboszczowi, prosząc, żeby się udał do miasta i wybrał tam osobiście nowy dzwon.

— Moje dzieci — mówił ks. Corentin — moje drogie dzieci... to najwidoczniej dobry Bóg, który... jakby to powiedzieć... w taki sposób...

I nie mógł mówić dalej, tak był wzruszony, że umiał tylko wyszeptać:

— N u n c d i m i t t i s s e r v u m t u u m, D o m i n e, s e c u n d u m v e r b u m t u u m i n p a c e.

* * *

Nazajutrz ks. Corentin ruszył w drogę po zakup dzwonu. Trzeba było przejść pieszo dwie mile drogi do wsi kościelnej Rosy-les-Roses, tamtędy zaś przechodził dyliżans, który dojeżdżał do sławetnego miasta Pont-l'Archevêque — stolicy prowincji.

Było pięknie. Życie drzew, ptaków i roślin pożytecznych bądź użytecznych pulsowało w słońcu z obydwu stron drogi.

I stary proboszcz, z głową pełną przyszłych dźwięków pięknego dzwonu, szedł podniośle, chwaląc Boga jak św. Franciszek za radosność dzieła stworzenia.

Gdy się zbliżał do Rosy-les-Roses, zobaczył na skraju drogi wyprzężony wóz cyrkowy. Niedaleko wozu leżał bokiem stary koń, z wyciągniętemi i zesztywniałemi czterema nogami, z obręczami żeber i wystającemi kośćmi zadu, dziurawiącemi skórę wytartą, z krwią w nozdrzach, z głową ogromną i zbielałemi oczami.

Stary mężczyzna i stara kobieta, ubrani w dziwaczne łachmany i trykoty z czerwonej wełny, ugwieżdżone cerami, siedzieli nad rowem i płakali po zdechłym starym koniu.

Nagle z głębi rowu wyrosła dziewczyna piętnastoletnia i rzuciła się ku proboszczowi wołając:

— Litości, księże proboszczu! Litości!

Głos był ochrypły i przyjemny naraz, a prośbę modulował niby piosenkę zingary. Dziecko, którego cera miała kolor świeżo garbowanej skóry, było ubrane tylko w brudną bluzkę i w czerwoną spódniczkę; ale dziewucha miała do tego szerokie źrenice, czarne i aksamitne, i wargi niby wiśnie dojrzałe; jej żółte ramiona były tatuowane w kwiaty niebieskie, a miedziany obłęk przytrzymywał jej włosy krucze, rozpostarte w wachlarz z obu stron szczupłej buzi, jak to się widuje na rysunkach egipskich.

Ksiądz, zwalniając tempa marszu, wyciągnął z portmonetki monetę dziesięciocentymową. Lecz skrzyżowawszy wzrok z dzieckiem, zatrzymał się i zaczął ją przepytywać.

— Mój brat — wyjaśniała — siedzi w więzieniu, ponieważ posądzono go o kradzież kury. To on nas utrzymywał, a teraz nie jedliśmy od dwóch dni.

Ksiądz włożył dziesięć centymów do woreczka, wydobył zaś stamtąd monetę białą.

— Ja — ciągnęła — potrafię robić sztuki, a moja matka stawia dobrze kabałę. Ale nie możemy nadal uprawiać naszego zawodu po miastach i po wsiach, bo jesteśmy bardzo nieszczęśliwi. Oto właśnie teraz padł nam koń. I cóż my teraz poczniemy?

— A czy — spytał ksiądz — nie moglibyście poszukać pracy w okolicy?

— Ludzie boją się nas i rzucają za nami kamieniami. Zresztą nie nauczono nas pracować; my umiemy tylko robić sztuki. Gdybyśmy mieli konia i trochę pieniędzy na przyodziewek, moglibyśmy jeszcze żyć w naszym fachu... Ale nie pozostaje nam nic innego jak umrzeć.

Ksiądz schował spowrotem do portmonetki białą monetę.

— Kochasz dobrego Boga? — zadał jej pytanie.

— Będę Go kochać napewno, gdy nam przyjdzie z pomocą — odpowiedziało dziecko.

Ksiądz uczuł na pasku ciężar woreczka, gdzie było sto talarów od jego parafjan.

Żebraczka nie spuszczała ze świętego kapłana oczu — swoich oczu cygańskich, które wypełniały całkowicie źrenice. Pytał:

— Jesteś niewinna?

— Niewinna? — powtórzyła cyganka ze zdziwieniem, nic nie rozumiejąc.

— Mów: Mój Boże, kocham Ciebie!

Dziecko zamilkło, mając pełne oczy łez.

Ksiądz rozpiął guziki sutanny i wysunął sakiewkę z pieniędzmi.

Cyganka porwała sakiewkę ruchem małpy i rzekła:

— Księże proboszczu, kocham księdza!

Wmig uciekła do dwojga starych, którzy nadal bez hałasu płakali po padłym koniu.

* * *

Ksiądz ruszył dalej ku Rosy-les-Roses, rozmyślając o wielkiej nędzy, w której podobało się Bogu trzymać wiele swych stworzeń, i prosząc Go o oświecenie tej małej cyganichy, która, najwidoczniej, nie znała religji i prawdopodobnie, nawet nie otrzymała chrztu świętego.

Wtem spostrzegł się, że nie było potrzeby jeździć do Pont-l'Archevêque, gdyż już nie było pieniędzy na dzwon.

Więc się też wrócił.

Teraz zupełnie nie rozumiał, jak mógł dać nieznanej żebraczce, kuglarce nawet, taką wielką sumę i to wdodatku sumę, która nie należała do niego.

Przyśpieszył kroku wnadziei zobaczenia znowu cyganki. Jednak na skraju drogi był tylko padły koń i wyprzężony furgon.

Zrozumiał, co zrobił. Niewątpliwie zgrzeszył bardzo ciężko: nadużył zaufania swoich owieczek, zmienił przeznaczenie depozytu, dopuścił się pewnego rodzaju kradzieży.

Przewidywał z lękiem skutki błędu. Jak go ukryć? Jak go naprawić?

Gdzie znaleźć inne sto talarów? A czekając na nie, co odpowiadać tym, którzy będą go pytać? Jak wytłumaczyć swe postępowanie?

Niebo pokrywało się. Drzewa na sinym horyzoncie nabrały rażącej i twardej zieleni. Ks. Corentin został uderzony smutkiem dzieła stworzenia.

Mógł wrócić na probostwo nie będąc spostrzeżonym.

* * *

— To już ksiądz proboszcz? — spytała księża służąca — stara Scholastyka. — A więc ksiądz nie był jeszcze w Pont-l'Archevêque?

Ksiądz skłamał:

— Nie zastałem dyliżansu w Rosy-les-Roses... Wybiorę się innego dnia... Lecz pamiętaj, nie mów nikomu, że już powróciłem.

Nazajutrz nie odprawiał wcale Mszy. Siedział zamknięty w swym pokoju i nie śmiał nawet przejść się po własnym ogrodzie.

Następnego jednak dnia przysłano po niego, żeby zaniósł ostatnie sakramenta chorej w wiosce Clos-Moussu.

— Ksiądz proboszcz jeszcze nie wrócił — rzekła służąca.

— Scholastyka się myli; oto jestem — wtrącił się ks. Corentin.

* * *

Wracając z Clos-Moussu, spotkał jednego ze swych najpobożniejszych parafjan.

— Więc jak, księże proboszczu, dobrą miał ksiądz podróż?

Ksiądz skłamał poraz drugi:

— Wyborną, mój przyjacielu, wyborną.

— A co z dzwonem?

Ksiądz popełnił nowe kłamstwo. Niestety! Odtąd jużby ich nawet nie zliczył.

— Pyszny, mój przyjacielu, pyszny! Możnaby o nim powiedzieć, ze szczerego srebra. A co za piękny dźwięk! Wystarczy dać prztyka, a już dźwięczy tak długo, że się prawie nie kończy.

— A kiedy go zobaczymy?

— Wkrótce, moje drogie dziecko, wkrótce. Ale trzeba przedtem wyryć na nim jego imię chrzestne, także jego rodziców chrzestnych, no i parę wersetów z Pisma świętego...

Tak, tak, to wymaga czasu!

* * *

— Scholastyko — rzekł ksiądz wracając do siebie — jeśliby się sprzedało fotel, zegar i lustro, które są w moim pokoju, jak uważasz, czyby dostał za to sto talarów?

— Nie dostałby za to i dziesiątej części, księże proboszczu. Bo mimo całego poważania dla księdza, wszystkie ruchomości księdza i trzech groszy niewarte.

— Scholastyko — podjął ksiądz — nie będę jadł odtąd mięsa. Mięso mi szkodzi.

— Księże proboszczu — odrzekła stara służąca — to wszystko niepodobne do rzeczy i napewno ksiądz ma innego mola na głowie... To od dnia, kiedy ksiądz wybrał się do Pont-l'Archevêque. Co się takiego księdzu przydarzyło?

Tak go podeszła pytaniami, że skończyło się na opowiedzeniu jej wszystkiego.

— At — mówi — to mnie wcale nie dziwi. To dobre serce księdza zgubiło. Ale niech ksiądz sobie nie psuje krwi, księże proboszczu! Podejmuję się tłumaczyć wszystko aż do czasu, kiedy ksiądz zdoła zebrać inne sto talarów.

* * *

Tak więc Scholastyka wymyśliła przygody, które przytaczała każdemu, kto się nadarzył. „Porysowano nowy dzwon przy pakowaniu i trzeba było go przelać. Po odlaniu dzwonu przyszła księdzu proboszczowi myśl, żeby go posłać do Rzymu dla uzyskania błogosławieństwa naszego Ojca św., a tam daleka jest podróż..."

Ksiądz pozwalał jej mówić, lecz był coraz bardziej nieszczęśliwy, ponieważ poza wyrzutami sumienia spowodu własnych kłamstw, czuł się odpowiedzialnym za kłamstwa Scholastyki, a to wpołączeniu z roztrwonieniem pieniędzy parafjan tworzyło w dalszym ciągu ogromną masę grzechów. Pod ich ciężarem uginał się i powoli bladość trupia zastępowała na wyszczuplających się policzkach kraśne rumieńce jego niewinnej i czerstwej starości.

* * *

Dzień złotych godów proboszcza i chrztu dzwonu przeminął już dawno. Mieszkańcy Lande-Fleurie dziwili się takiemu opóźnieniu. Rozchodziły się plotki. Kowal Farigoul rezonował:

— Ja wam mówię: połknął forsę na dzwon.

Tworzyła się partja przeciwko czcigodnemu słudze Bożemu. Kiedy szedł ulicą, trafiały się czapki nieuchylane z głów i słyszał po swem przejściu złowrogie poszepty.

Biedny święty człowiek był przytłoczony wyrzutami sumienia. Pojmował całą rozciągłość swego błędu. Czuł żal najgłębszy z tego powodu; a tymczasem postąpiwszy dobrze, nie mógł obudzić w sobie skruchy doskonałej.

To wszystko działo się dlatego, bo czuł doskonale, że ta nierozważna jałmużna — ta jałmużna z cudzych pieniędzy, była dana wbrew niemu samemu i bez możności zastanowienia się nawet. Mówił sobie również, że to nierozsądne miłosierdzie mogło być dla ciemnej duszy cygańskiego dziecka najlepszem objawieniem Bożem i początkiem oświecenia wewnętrznego. I znowu widział ciągle tak czarne, tak słodkie i całe łez pełne oczy małej kuglarki.

Tymczasem męka jego świadomości stawała się niedozniesienia. Jego błąd rozrastał się już przez to samo, że w nim trwał. Pewnego dnia po dłuższej modlitwie postanowił uwolnić się od swego grzechu, wyznając go publicznie własnym parafjanom.

* * *

Następnej niedzieli wszedł po Ewangelji na ambonę i bledszy ale przejęty najwznioślejszym wysiłkiem jak męczennik na arenie, zaczął:

Dokończenie na str. 272.

CHRYSTJANIZM WOBEC ZAMACHU NA DZIECKO

Neopoganizm, wkradający się dziś we wszystkie dziedziny życia ludzkiego, wiedzie świat na niziny, z których przed wiekami wyrwało go chrześcijaństwo. Widać to najlepiej na najczulszej dziedzinie społecznej, na moralności.

Dotychczas basztą obronną przeciwko wszelkim zakusom niemoralnym była rodzina i życie małżeńskie. Ale dzisiaj wkrada się i tam niestety nieład moralny.

W imię postępu i wymogów ducha czasu, nie uznającego ni wiary ni moralności, zrywa się z instytucji małżeńskiej cechę świętości, a nawet jej naturalną przyzwoitość. Widzi się w niej jedynie związek naturalny niepodporządkowany żadnym prawom i nakazom Bożym.

Przez fałszywe idee i zgubne hasła wykoszlawia się podstawowe zadania życia małżeńskiego i uniemożliwia się małżonkom spełnianie ich funkcyj i obowiązków społecznych.

W rozgardjaszu błędnych zapatrywań i ataków na świętość życia małżeńskiego, nie od rzeczy będzie przypomnieć, cel, zadanie i obowiązki stadeł małżeńskich i zapytać zarazem sumienia chrześcijańskiego o jego sąd w sprawie zamachów na życie dziecka.

Małżeństwo jest instytucją Bożą. Nie ustanowił go ani nie odrodził człowiek, lecz sam Bóg. Bóg wykreślił mu też swoje cele i otoczył swojemi prawami.

Naczelnym celem życia małżeńskiego jest rozmnażanie rodzaju ludzkiego. Małżeństwo zostało więc ustanowione i uświęcone dla dziecka. Małżonkowie otrzymują od Boga misję niejako twórczą, właściwą tylko Stworzycielowi.

Tę myśl i wolę wyraził już Stwórca na pierwszych kartach Pisma św., kierując do pierwszych rodziców, a przez nich do przyszłych małżonków słowa: „Róście, mnóżcie się i napełniajcie ziemię". Apostoł Narodów powtarza to samo w liście do Tymoteusza, kiedy pisze: „Chcę aby młodsze szły zamąż, aby dzieci rodziły".

To zaszczytne posłannictwo, nie jest co prawda jedynym i wyłącznym celem małżeństwa, ale ponieważ tutaj wchodzi w rachubę to zasadnicze zadanie życia małżeńskiego, o celach dalszych, jak zaspokojenie pożądania, wzajemna pomoc i pociecha, nie piszemy.

„Przystojne rozmnażanie" rodzaju ludzkiego, nie jest tylko przywilejem, ale i obowiązkiem małżeństwa. A ten obowiązek ujęty ze strony negatywnej zakazuje małżonkom czynić wszystko to, coby się sprzeciwiało wykonaniu ich naczelnego zadania. Nie wolno więc małżonkom iść za podszeptami „zbrodniczej swawoli", która zasadzając się na nikczemnym egoiźmie uważa dziecko za „przykry ciężar" życia małżeńskiego, i z tego powodu czyni nań zamach, posługując się praktykami pozbawiającemi akt małżeński jego naturalnych skutków.



Para dziecięca w węgierskich strojach ludowych.

Malthus, angielski ekonomista i historyk, bezwiednie stał się patronem zamachowców na życie dziecka. Obawiając się przeludnienia na kuli ziemskiej, a z nim ogólnego głodu, wydał w roku 1798 książkę p. t. „Essay on the principles of population", w której zaleca ograniczenie narodzin dzieci przez wstrzemięźliwość płciową „moral restraint". Obcem było Malthusowi zalecanie niemoralnych praktyk dla ograniczenia liczby urodzin.

W sto lat prawie później w r. 1880 powstaje w Anglji liga neomaltuzjańska, która w wszelki możliwy sposób każe dążyć do zmniejszenia liczby dzieci. Do osiągnięcia tego celu, zaleca haniebne, nie liczące się z moralnością praktyki, a więc:

1) przerywanie aktu małżeńskiego,

2) używanie środków zapobiegawczych zapłodnieniu,

3) i niecofanie się nawet przed dzieciobójstwem, spędzając płód, o ile kobieta „nieostrożna" zajdzie w ciążę.

Najczulsze sumienie katolickie, Ojciec św. Pius XI, w swej encyklice „Casti connubii" potępia wszystkie

te środki, będące zamachem na życie dziecka, mówiąc, że stosunki małżeńskie, połączone z takiemi praktykami, *są haniebną rozpustą*. Świadomy swej powagi nauczycielskiej, stawia jasne i dobitne zdania: „Ktokolwiek — powiada — użyje małżeństwa w ten sposób, by umyślnie udaremnić naturalną siłę rozrodczą, łamie prawo Boże, oraz przyrodzone i obciąża sumienie swoje grzechem ciężkim".

Jeśli potępienia godne są praktyki, które moglibyśmy nazwać uniemożliwiającemi zapłodnienie, to tem bardziej napiętnować należy, praktyki usuwające z łona matki poczęte życie, czyli spędzanie płodu. Już Arystoteles w swojej etyce broni życia poczętego dziecka. Samo sumienie nam mówi, że to mord bezwstydny, tem straszniejszy, że dokonany na osobie bezbronnej, która ma prawo, jak człowiek na ulicy, przypomnieć napastnikowi przykazania z góry Synai: „Nie zabijaj".

Są jednak wypadki, kiedy stan chorobliwy macicy domaga się bezpośredniego zabiegu koło niej. Jeśli zabieg ten pociągnie za sobą fatalne skutki dla płodu, zło nie może być wtedy przypisywane nikomu, bo śmierć dziecka nie była zamierzona, a tylko dopuszczona, jako nieuniknione następstwo koniecznego zabiegu lekarskiego. Taką śmierć płodu, pośrednio, a nie bzpośrednio spowodowaną dla ważnej i proporcjonalnej przyczyny, wszyscy teologowie uważają za rzecz godziwą. Sam Ojciec święty w encyklice „Casti connubii" potępia tylko bezpośrednie, zamierzone spędzenie płodu.

Zamachem na dziecko, nazwaliśmy każdy nienaturalny stosunek płciowy i każdy zabieg mający na celu przeszkodzić i usunąć powstające życie. Na takie miano nie zasługuje jednak stosunek prawidłowy, miany w okresie bezpłodności kobiety, a więc bezskuteczny w odniesieniu do dziecka. Z małżeńskich praw można zawsze korzystać o ile akt jest godziwy i podporządkowany pod cel zasadniczy. A każdy naturalny i prawidłowy akt zachowuje swój objektywny kierunek do pierwszego celu, którym jest rodzenie potomstwa. Nawet przeciwna mu intencja nie odbiera mu godziwości, bo cel prawa nie podpada pod prawo.



Narzeczeni w ludowych strojach węgierskich.

Pozostaje jeszcze do omówienia okres bezpłodności kobiety.

Co do okresów bezpłodności dokonano w ostatnim czasie w świecie lekarskim, doniosłego odkrycia, dokonanego przez lekarza japońskiego dr. Ogino i Austrjaka dr. Knausa. Dotychczas bowiem w sprawie tego okresu wypowiadano zawsze zdanie wahające i nie zupełnie pewne. Mówiły o nim książki lekarskie, podręczniki teologji moralnej i medycyny pastoralnej, jak np. Capellmana i naszego d-ra Gantkowskiego. Ale wszystkie ich twierdzenia sprowadziły się do prawdopodobieństwa. Ostatnio słynny moralista o. Vermeersch w swym katechiźmie małżeństwa chrześcijańskiego (w dopisku do nr. 100), mówi jeszcze, że: „Pewności bezwzględnej niema. Teorja sama ma za sobą jedynie poważne prawdopodobieństwo".

Najnowsze jednak badania d-ra Ogino i d-ra Knausa, wykazują *według ich opinji* zupełną pewność perjodycznej bezpłodności. Wyjaśniają zarazem, że ta teorja nie mogła mieć dotychczas pewności, bo obliczenia lekarzy (zwłaszcza Capellmana) nie brały pod uwagę różnorodnej i często zmiennej długości perjodu, wahającej się, od 23 do 40, a nawet 45 dni.

Niezależnie zresztą od tego, należy jedynie stwierdzić, że wszelkie normalne stosunki w tym właśnie czasie, choćby i z zamiarem uchylenia się od potomstwa, nie są zamachem na życie dziecka i wobec tego jako godziwe można je stosować. Rozumie się, że stosunków małżeńskich nie powinno ograniczać się jedynie do tego okresu, bo wtedy nie potrzebaby już innego świadectwa na nasze ubóstwo duchowe i lekkie pojmowanie niesłychanie wielkich i społecznych obowiązków. Wtedy zbędne byłyby kołyski, ale narodom groziłaby z tego powodu niechybna zagłada.

Dla uzupełnienia poruszonej kwestji odkrycia d-ra Ogino, dobrze będzie przeczytać broszurkę p. dr. Aleksandra Zajdlicza: „Odkrycie dr. Ogino" — rozwiązanie zagadnienia regulacji urodzin ze stanowiska katolickiego. — Poznań 1932. Do nabycia także w Księgarni Przeglądu Katolickiego — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

Dr. Fr. C.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

DROGA ŚWIĘTA.

W starożytnym Rzymie była tak zwana „droga święta” — Via sacra — jedna z piękniejszych ulic miasta.

Po obu stronach tej wielkiej relikwji imperjum, podziwiało oko widza śliczne budowle, wspaniałe pomniki, lśniące przepychem świątynie. Po niej kroczyły procesje religijne z rozwiniętemi sztandarami, emblematami swych wierzeń, a szły poważnym krokiem, w pobożnem skupieniu. Nikomu nie było wolno zachować się tu hałaśliwie, jak na innych ulicach, dlatego właśnie, że przechodził „drogą świętą”. Najsławniejszą, najczcigodniejszą i najuroczystszą z dróg, po której w triumfalnych pochodach wjeżdżali w mury miasta zwycięscy wodzowie Rzymu.

Z biegiem lat do jej murów, do jej płyt kamiennych przywarł ogromny, bohaterski strzęp historji. Niezrównana przeszłość, władczyni „orbis terrarum”, zdawała się tu połyskiwać z każdego lustra marmurów. Z uczuciem świętego drżenia i wielkiej dumy w sercu przechodził tedy każdy Rzymianin. Sława tysiącletnia orłów rzymskich śpiewała mu w tych dwu słowach — V i a s a c r a!

Dzieje pogańskiej Romy niezawsze znaczyły się na szlaku „drogi świętej”. Umieli rzymscy wodzowie i władcy ścinać, gnębić i miażdżyć niewinnych, umieli w jarzmo niewoli zakuwać wolne ludy. Umieli łamać najświętsze ich prawa brutalną przewagą miecza. Po wertepach, grzęzawach i topieliskach, po ślepych i brudnych zaułkach zbrodni, kluczyły ich dzieje...

Ale tętno pierwsze, czyste czyjegoś szlachetnego serca chciało lud swój prowadzić „drogą świętą”! I ono pozostało na świadectwo historji, jako ideał wielkiego ludu, ryty w marmurach, złocie i granitach...

Via sacra!

I w pewnej, wielkiej chwili dziejowej prawica Opatrzności podjęła to hasło, wkroczyła władczo w losy Rzymu i ukazała mu „drogę świętą” Chrystusowej prawdy i prawa. W odblaskach Gwiazdy Betleemskiej zarysowała się oczom Rzymu i oczom wszystkich ludów jasno, pewnie i wyraziście ta „droga święta”. . Prawdziwa via sacra... chrystjanizmu!

Jak ongi Rzymianin, jak cały świat od dni Chrystusa, tak zawsze każdy człowiek ma swoje drogi, ma swe dzieje, i mieć powinien przed oczyma swoją „via sacra” — drogę świętą... Wiele bowiem dróg i różnych dróg wiedzie przez życie ludzkie. Ścielą się drogi pełne kurzu i błota, drogi samolubstwa, drogi pychy, nieprawości i gwałtu. Umierają w piaskach pustyni drogi nieuctwa religijnego, tępoty ducha i ciasnoty serca. Na nich wszystkich, jakby śpiąc na jawie, kroczą setki i tysiące, nie zdając sobie sprawy, dokąd one wiodą, dokąd zajdą i co zgotują wędrowcowi na końcu...

A tymczasem płonie coraz wyraźniej z każdym wiekiem ta jedyna, słoneczna, promienna, olśniewająca marmurami i złotem „droga święta” — via sacra!

Tak, zaiste! Każdy winien się zatroskać o to serdecznie, by mieć w życiu „drogę świętą”. Jakkolwiek się jego życie snuje i rozwija. Łatwo, czy pośród trudu i męczarni, w bogactwach i dostatku, czy w ubóstwie i nędzy, pośród chmur, czy w słonecznym uśmiechu dnia.

Każdy winien mieć przed oczyma swoją „drogę świętą”! Mieć ją i na nią razporaz wstępować.

Wzdłuż tej drogi świętej stoją pamiątki czcigodne — narodowe i rodzinne — wieje poszum potężnej, uskrzydlonej wiarą, przeszłości. Stoją świątynie, domy Boże, a w nich Pan ich zamieszkuje tajemnie. Dlaczegoż nie oprzeć się o Boga, kiedy człowiek upada na siłach?! Czemuż omijać świątynię, pełną ciszy i niebiańskiego ukojenia, skoro w sercu szaleją burze, językiem ludzkim nienazwane?!

Są ludzie, co omijają kościoły. Lękają się w nich napotkać myśl o Bogu. Bóg ich onieśmiela, napawa jakiemś trwożnem drżeniem. Im się zdaje, że daleko przyjemniej spędzają życie, błądząc po cuchnących zaułkach i norach grzechu, zbaczając na bezdroża zbrodni. Tam co kilka kroków nie grozi im ostrzegawczy znak Bóstwa. I wyobrażają sobie, że uniknąwszy widoku znamion Bóstwa, unikną widoku i spotkania się z Bogiem samym... I omijają starannie „drogę świętą”...

Ktokolwiek jednak ośmieli się na ten krok i wstąpi na drogę świętą, otoczy go atmosfera wysokich gór. Czystość, świeżość i przezroczość powietrza napełni mu duchowe płuca, oczy, unormuje działalność serca, ożywi prężność rozumu. Wszystko na tej świętej drodze będzie zbliżone do niebios, wszystko będzie mówić o wzniosłych, idealnych pierwiastkach życia. O tem, co dźwiga, co krzepi, co napełnia otuchą. O tem, co miłość roznieca ku Bogu i ludziom, co wznosi ponad siebie, ponad pył, brud i męty życia ziemi. O tem, co wielkie, co szlachetne i piękne, co tchnie majestatem prawdy.

Na swej świętej drodze dopiero każdy uczuje się naprawdę tem, czem jest i czem być powinien w obliczu Boga i ludzi. Zrozumie, że mu dana wolność synów bożych i że mu przyznano dar nad dary, o którym pisał z rozrzewnieniem uczeń miłości: „Synaczkowie... teraz synami bożymi nazywamy się i jesteśmy”! Tam odczuje w swem tętnie królewskie tętno synów Bożych, którzy diadem chwały wiekuistej włożyli na swe czoła, ulepione z mułu ziemi...

Ludzie tak lubią patrzeć na piękną okolicę, podziwiać cuda natury i sztuki — dokoła siebie. Nie chcą widzieć śmieci...

Czego nie chcą mieć „dokoła siebie”, niechaj unikają także „w sobie”. Niech często wnoszą w swą duszę cuda łaski... Usuwając pospolitość i śmietniska grzechu, niech wkraczają ochoczo na swą „drogę świętą”!

POLSKA I WĘGRY

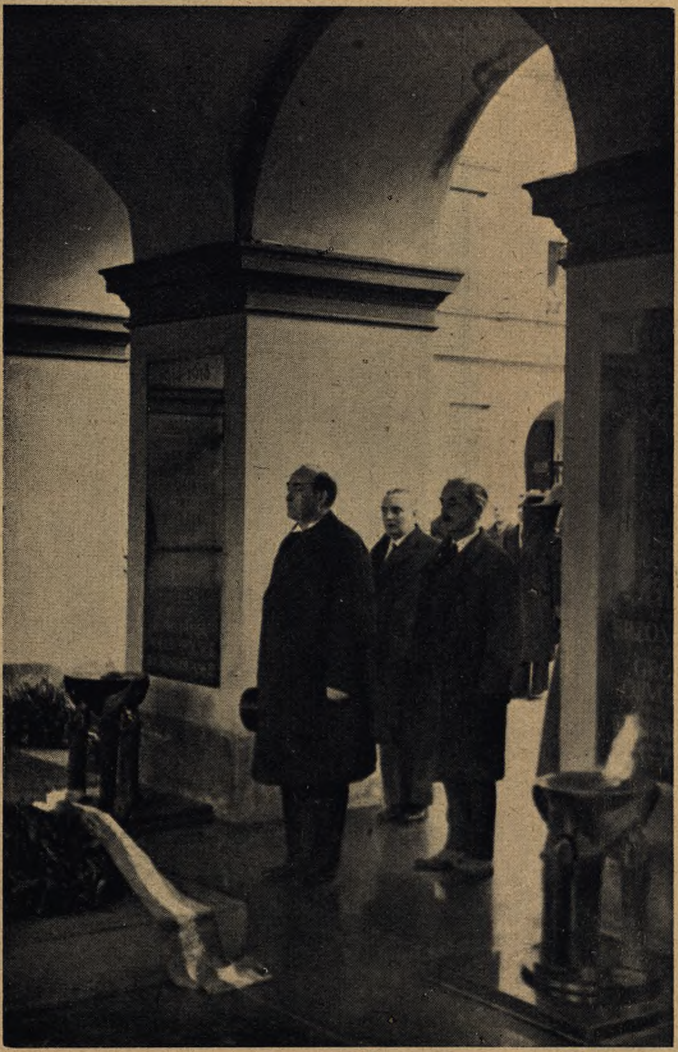
Wizyta min. Gömbösza zwróciła naszą uwagę na Węgry.

Stosunki polsko-węgierskie, i to stosunki bez przerwy nieomal żadnej wzorowe, mają za sobą tradycję tysiącletnią. Nawiązują się one wraz z początkami chrześcijaństwa u obu narodów i trwają niezmiennie przez wieki. Legenda góralska głosi, że to św. Wojciech i św. Stefan ustalili pod klątwą bożą granicę karpacką między nami.

W tej epoce mamy bardzo rozległe związki dynastyczne Arpadów z Piastami. Szereg księżniczek piastowskich wychodzi zamąż do Węgier. Stosunki między obu dworami są bardzo żywe. Toć św. Emerykowi, polującemu z królem Bolesławem w górach Świętokrzyskich, ukazuje się jeleń z krzyżem w rogach.

Tradycje pierwszych apostołów odezwą się w ugodzie między Kazimierzem Sprawiedliwym i Belą III. Zawierają oni przymierze zgodnie „z duchem św. Stefana, króla Węgier i św. Wojciecha, patrona Węgier", jak pisze Kadłubek. Bezimienny skryba-przepisywacz wzywa do strzeżenia tego związku. Rozwijał się ten związek nietylko jako dobre, nienaruszone jakimś złośliwym sporem sąsiedztwo, ale i jako współdziałanie kulturalne i polityczne.

Za wzorem założonej przez Kazimierza Wielkiego akademji krakowskiej Ludwik Wielki założył w Pecs w r. 1367 pierwszy węgierski uniwersytet. W latach 1400—1550 przez mury Almae Matris Jagiellonensis przewinęło się blisko 4000 studentów węgierskich. Wśród nich znalazł się Edösi Sylwester, autor pierwszej gramatyki węgierskiej. A dalej najstarsza książka węgierska „Rudimenta gramatices Denati", ułożone przez tegoż Sylwestra, wyszły w r. 1527 z krakowskiej oficyny Vietora.



Premjer węgierski Gömbösz przed grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie.



Pomnik Sobieskiego w Esztergombán na Węgrzech.

W dalszym ciągu, śledząc polskie wpływy kulturalne na Węgrzech, musimy wymienić tu Wita Stwosza, a w wieku XVI wpływ polskiego renesansu na północne komitaty węgierskie i wzajemnie.

Bardzo żywe stają się stosunki polityczne. Państwa nasze założone prawie jednocześnie, sąsiadujące ze sobą w linji pionowej, znalazły się na granicy tych samych wpływów politycznych i militarnych niebezpieczeństw. Od Zachodu, trzeba się było bronić przeciw Germanom, od Wschodu przeciw Moskalom, Tatarom, Turkom i Litwinom.

Ludwik Wielki i Elżbieta, królowie węgierscy i polscy musieli myśleć o odparciu zagonów tatarskich na polskie ziemie, aż pod Kraków, a najczęściej pod Lwów się zapędzających. Pod Kraków zapędzają się także Litwini, czemu wreszcie położy kres małżeństwo księżniczki węgierskiej, a królowej polskiej Jadwigi z księciem Jagiełłą.



Zaczyna się epoka jagiellońska, wiążąca bardzo blisko oba narody, zdobywające sobie zaszczytne miano „propugnaculum christianitatis“. Heroiczna śmierć dwu Jagiellonów, Władysława pod Warną i Ludwika II pod Mohaczem, przypieczętowuje wspólny los obu narodów, broniących chrześcijaństwa przeciw poganom.

Dalsze etapy tej walki na Wschodzie, tym razem ze schizmatycką Moskwą, tworzą walki pod murami Połocka, Wielkich Łuków i Pskowa. Stało się to dzięki temu, że znów oba berła połączyły się w ręku jednego węgierskiego króla Batorego. Był to nietylko wielki polityk, ale i pionier kultury. Założył on w Wilnie uniwersytet 1579 i w Koloszwarze w 1585.

Tak razem walcząc, pracując kulturalnie, i broniąc się przeciw wrogom, pokolei uległiśmy podobnemu losowi. Najpierw Węgry przez półtora stulecia (1541—1686), pozostając pod panowaniem niemieckiem i tureckiem. Do okupacji niemieckiej przyczyniliśmy się my sami przez fatalnie niezręczny układ dynastyczny w Wiedniu r. 1515. Obok r. 1525, daty hołdu pruskiego, dwie to najsmutniejsze daty polskiej historji, stanowiące najwcześniejsze przesłanki późniejszego naszego upadku.

Obok na lewo.
Figura alegoryczna utraconych prowincyj na Południu



Regent królestwa W





Parlament

Obok na lewo.
Pomnik generała Bema na Węgrzech.

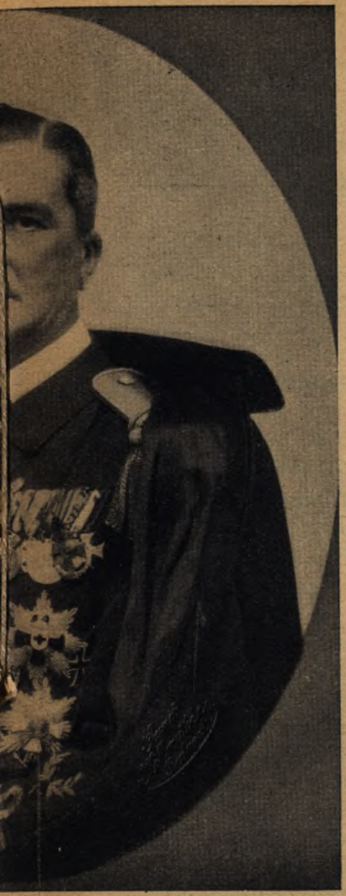
Przegraliśmy już wtedy wielki los dziejowy przez nieroztropne posunięcie. Odległe jego skutki w postaci upadku Węgier i naszego upadku są niewątpliwie.

Jeśli chodzi o dalsze analogje między obu narodami, musimy wymienić kwestje ustrojowe. W obu krajach, w odróżnieniu od reszty Europy, nigdy nie rozwinął się feodalizm, ani absolutyzm wogóle. Natomiast powoli kształtowała się społeczność konstytucyjna, oparta na zasadzie wolności szlacheckiej. W dokumentach Karola Roberta i Ludwika, jak przywilej budziński r. 1355, pakt koszycki z r. 1374 i inne, widać wyraźne wpływy prawa węgierskiego, a zwłaszcza złotej bulli Andrzeja II. „Universi viri nobiles... sub una et eadem libertate gratulentur", powiada ten wiekopomny dokument.

Nic dziwnego, że jak nigdzie na świecie rozwinął się w obu krajach stan szlachecki, obejmujący do 20% ogółu.

Niewątpliwie ten stan rzeczy, podobnie jak zbliżone do siebie losy militarne i polityczne, musiały wywrzeć decydujący wpływ na tworzenie się charakteru narodowego.

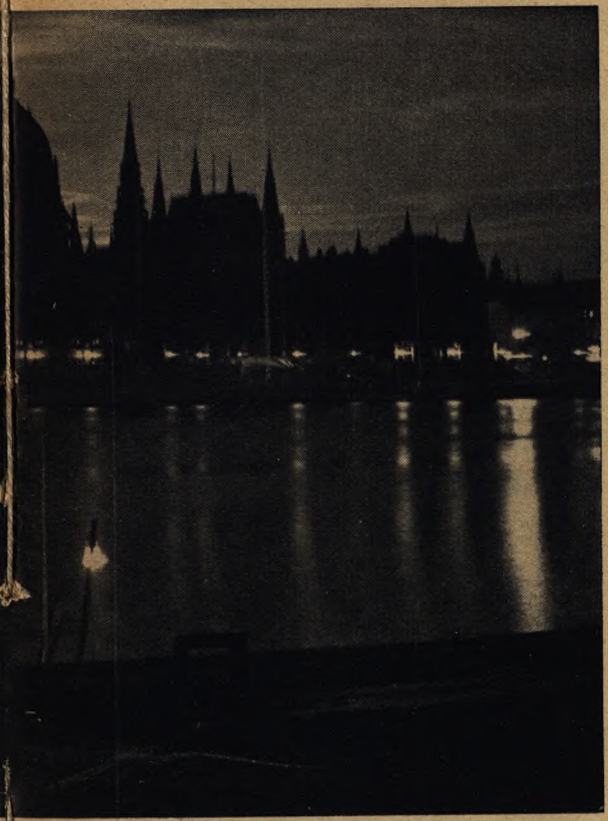
Istnieje też niezaprzeczalne podobieństwo temperamentów i usposobień Polaka i Węgra, rycerza z ko-



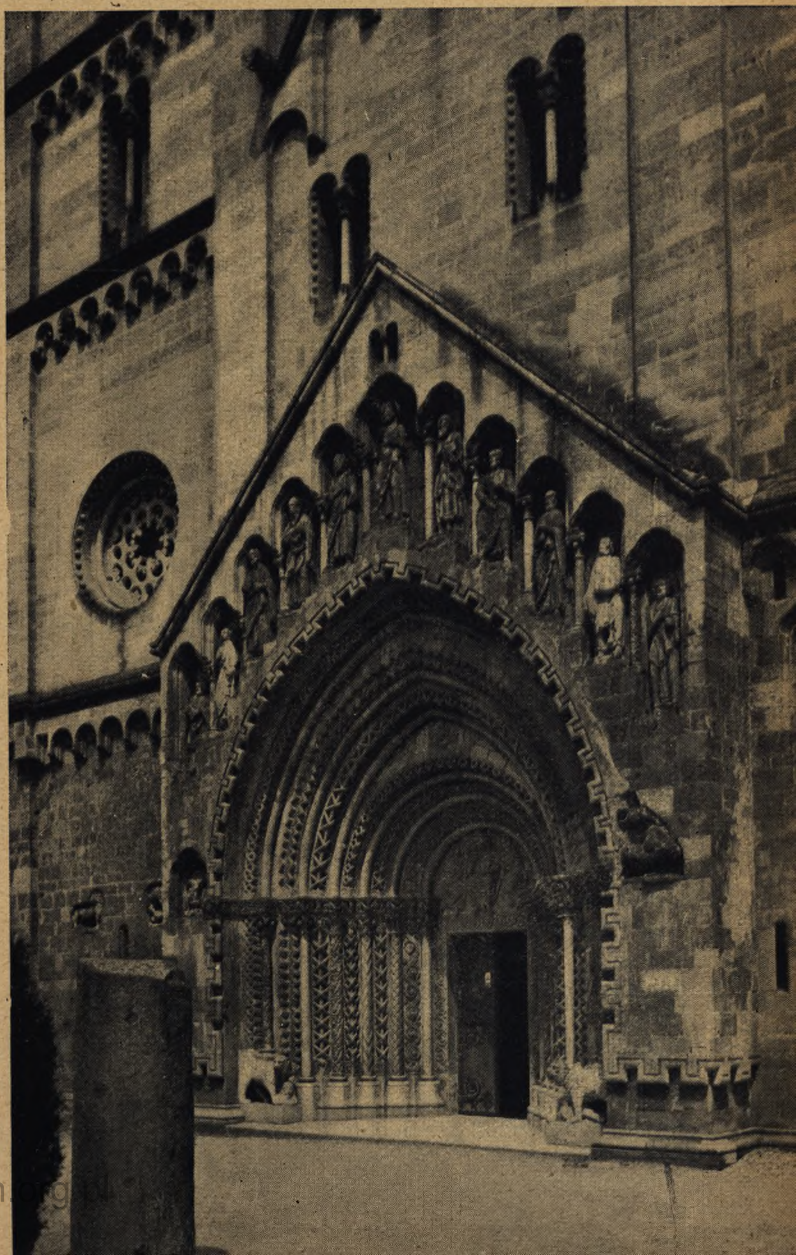
...gier, admirał Horthy



Obok na prawo.
Figura alegoryczna utraconych prowincyj na Wschodzie



... Budapeszcie



Obok na prawo.
Portal kościoła w Jak, na Węgrzech



Dziewczęta węgierskie

nieczności życiowej, ale i z powołania. Stąd zapewne popularne przysłowie powiada: „Polak, Węgier dwa bratanki i do szabli i do szklanki".

Cechuje nas w jednakim stopniu wybuchowość, porywczość, szlachetność, wielkoduszność i pańska wspaniałość. Kochamy się w wielkich gestach, w wystawności życia, rozmiłowani jesteśmy w koniu, najlepszym przyjacielu rycerza-zagończyka, co połowę życia spędza na biwakach i często umiera z kulbaką, miast wezgłowia. Nasza pieśń i muzyka ma ten sam porywisty rytm mazurka czy czardasza, rytm tak ognisty, że choć „Maciek umarł i leży na desce, to jak mu zagrają poskoczy se jesce".

Podobna jest też nasza religijność, rozlewna, głównie uczuciowa, religijność nawskroś rycerska, znamionująca się kultem maryjskim, kultem jakby wywodzącym się z obyczajów błędnego rycerstwa, służącego obroną biednym i pokrzywdzonym w barwach. Damy swego serca. Taką Panią była u nas „Regina Poloniae", na Węgrzech „Patrona Hungariae", a jej błękitna wstęga odznaczała najszlachetniejszą gałąź rycerstwa obu narodów, sodalisów marjańskich.

Rycerze z krwi i kości, jak Cincinatus uznawaliśmy tylko rolę. Miecze umieliśmy przekuwać na lemiesze i odwrotnie. Wstrętną nam była natomiast miarka i łokieć kupca. Sprawiło to, że nie wytworzyliśmy mieszczaństwa, i stanu kupieckiego. Stał się on domeną obcych. Niestety. A jeśli czem handowaliśmy zwłaszcza między sobą, to chyba winem. Stąd popularnie przysłowie o winie: „Hungariae natum, Poloniae educatum".

Jeden z wielmożów polskich w. XVII tak ujął podobieństwo obu narodów: „Niema ludu, niema narodu, któryby pod względem obyczajów i natury był tak podobny do Polaków, jak Węgrzy; mają te same zbroje, podobny jest szyk bojowy, sposób życia, ubiory"... Podobna religijność żywa, a przecież tolerancyjna. Toć Batory powiedział, że nie jest królem nad sumieniami. Gdy w Polsce działał Skarga, na Węgrzech kard. Pazmany, również jezuita, ojciec odrodzenia moralnego swego narodu.

Na podobieństwo w naszem prawodawstwie zwracali uwagę tacy pisarze, jak Czacki, Bandtke, Karol Hoffman. O stosunkach wzajemnych pisali: Jan Dąbrowski, Fryderyk Papée, Tadeusz Grabowski.

Po stronie węgierskiej Franknoi, Veress, Szadecki, Szilagyj, Totah.

Na pierwszem jednak miejscu w pracy nad poznaniem naszych wspólnych dziejów wymienić należy prof. Adoriana Divekyego autora szeregu dzieł o stosunkach polsko - węgierskich. Zwłaszcza przypomina on dzieje tych stosunków w w. XIX, browski i inni pośpieszyli w r. 1848 wspomóc powstanie węgierskie.

Tradycje tego udziału Polaków w walce wyzwoleńczej Węgier, odezwały się w czasie wojny, kiedy to ze strony Węgier występowano bardzo gorąco w sprawie polskiej.

8 grudnia 1915 roku hr. Juljusz Andrassy, zaniepokojony projektami pewnych kół niemieckich, chcących Polskę oddać napowrót Rosji, nie zawahał się napiętnować ich mianem zbrodni: „Jest niedopuszczalne by na ciele Polski dokonano ponownie wiwisekcji". W tym samym tonie przemawia również po zawarciu „haniebnej pamięci" traktatu brzeskiego.

Z konkretną pomocą wystąpiły Węgry w roku 1920, posyłając nam amunicję, którą zużytkowano w czasie kampanji antybolszewickiej. Zatem tradycja przyjaźni polsko-węgierskiej przetrwała wszystkie burze dziejowe i wciąż się manifestuje. Decyduje o tem zarówno wspólny los w tej części Europy — wolność jednego narodu jest gwarancją dla drugiego — jak i podobne charaktery.

J. St. Czarnecki



Piotr Matuska, poseł węgierski w Polsce

DON JOSE ST. NOARRO. 23)

ZDOBYWCA AFRYKI

Rozmyślając nad tem, Stefan wracał do domu. Od jeziora szedł rzeźwy chłód. Schodzące z nieba — niby ekonom z pola — słońce, kładło długie cienie... Pierś oddychała łatwiej, jakby ciesząc się, że zbliża się noc.

Ciepła świetlista noc letnia, tająca w sobie tyle cudności, że nie wypowiedzieć jej w klechdach i bajkach. Na kwiaty, łąki i lasy spadła rosa. Głos chętnie dobywa się z gardła i płynie łatwo, daleko, rozbrzmiewa, budzi echa setne, tętni radością, nadzieją, szczęściem.

Stefan przeżywał prawdziwe gody radości na wsi, w zbrataniu z przyrodą.

XXIV.

Proces przeciwko zamachowcom, winnym napaści i porwania dr. Żarnickiego, stanowił prawdziwą sensację dla Warszawy i całego kraju.

Na ławie oskarżonych zasiadły trzy osoby: szofer z auta, którem dokonano porwania, jeden z uczestników zamachu i wreszcie ów prelegent, który wygłosił paszkwil przez radjo.

Na sali sądowej zgromadziło się wiele doborowej publiczności, która zawsze śpieszy na tego rodzaju sensacyjne widowiska, licząc, że będzie się można ubawić.

Cały proces był dziełem Ligęzy, który z przedziwną energją poruszył wszystkie sprężyny, by najpierw doprowadzić do ujęcia przynajmniej niektórych sprawców przestępstwa, następnie jaknajszybciej postawić ich przed sąd.

Po zagajeniu rozprawy, na pierwszy ogień poszedł ów „prelegent z radja".

— Nazwisko? — padło stereotypowe pytanie.

— Stefan Sarnicki.

— Zawód?

— Dziennikarz.

— Czy przyznaje się do winy?

— Nie, nie przyznaję się do winy. Stwierdzam natomiast, że wygłosiłem odczyt zgodnie z programem, jaki otrzymałem od dyrekcji Radja i według szkicu, który uprzednio przedstawiłem. Opinje zaś, które wypowiedziałem, są powszechnie powtarzane i jak dotąd nie wzbudzały żadnej reakcji ze strony zainteresowanej.

— Czy pozostawał pan w porozumieniu z posłem Pęcherzem? — rzucił pytanie adwokat dr. Stefana.

— Skąd to pytanie — odpowiada oskarżony.

— Czem więc pan tłumaczy, że tekst jego przemówienia ukazał się następnego dnia w gazecie redagowanej przez p. Pęcherza?

— Przecież istnieje na świecie stenografja i każde pismo, nawet ulubiony organ polityczny pana mecenasa, mogło podać moje przemówienie.

— A jednak podał je tylko organ Pęcherza — upierał się adwokat.

— To świadczy o jego czujności na dobro publiczne.

— Więc pan ma odwagę zasłaniać swój niecny postępek — dobrem publicznem?

— Pana się o to nie będę pytał — oburzył się oskarżony.

— Zobaczymy. Ja twierdzę, że pan użył niecnego podstępu, korzystając z podobieństwa swego nazwiska do mego klienta i, wprowadziwszy w błąd dyrekcję radja, pod pozorem odczytu dopuścił się napaści oszczerczej na p. dr. Stefana Żarnickiego.

— To jest oszczerstwo.

— To jest prawda, której postaramy się dowieść. Czy panu znany jest ten maszynopis?

Po chwili wahania Sarnicki odparł: — Tak.

— No, myślę, bo też jest to treść pańskiego sławetnego odczytu.

— Widzę to, ale skąd panowie go mają? — z Radja?

— Z drukarni świstka posła Pęcherza.

Sarnicki zamilkł skonfundowany.

— To niemożliwe. Już raz mówiłem, że nie dostarczałem żadnego rękopisu redakcji.

— Jakto, więc jest pan jej stałym współpracownikiem i nie dostarczyłby pan takiej sensacji — oczywiście w pańskiem rozumieniu.

— Powtarzam: nie!

— W takim razie wyświetlimy to przy pomocy świadków. A teraz inna sprawa. Niech pan postara się wyjaśnić, skąd i dlaczego bank Goldsteina wpłacił na pańskie konto złotych 1.000.

— Na to pytanie nie odpowiem i proszę sąd o zwolnienie z odpowiedzi. Nie ma to nic ze sprawą.

— A ja twierdzę przeciwnie, jestem zdania, że ta suma stanowi honorarjum za pański popisowy numer z radja i że to honorarjum zapłacił właśnie najbardziej zainteresowany w tej intrydze, wymierzonej przeciw dr. Żarnickiemu. Proszę wysokiego sądu, może nie jest to jeszcze wszystkim znane, ale koncern bankowy Goldsteina oddawna już interesował się losem Tow. Kolonjalnego.

— To chyba naturalne — wtrącił adwokat oskarżonego — od czegoż są bankierzy...

— Panie mecenasie, pan zdaje się jest obrońcą oskarżonego, a nie bankiera Goldsteina, którego osoby rzeczywiście tu brak na ławie podsądnych. Jeśli to chciał pan stwierdzić, w takim razie gratuluję — odparował z miejsca adwokat Żarnickiego. — Bo też zainteresowanie Goldsteina rychło przemieniło się w walkę przeciw. Tow. Kolonjalnemu. Mamy poważne poszlaki, że ostatnia mina giełdowa, która doprowadziła do znacznej zniżki kursów Towarz. jest dziełem Goldsteina. Lecz Goldstein się przeliczył i od intrygi giełdowej przeszedł do innych środków, jeszcze bardziej niegodziwych. Będziemy tu starali się udowodnić, że głównym sprawcą napaści i porwania dr. Żarnickiego jest kto inny, tu na ławie siedzą tylko jego narzędzia.

— Protestuję przeciwko temu. Działałem z własnej inicjatywy — woła podsądny.

— Nie podchlebiaj się pan Goldsteinowi, nic pan nie skorzysta.

Następny oskarżony nazywał się Paweł Wyrobisz, szofer z zawodu, pracujący na taksówkach. Tego dnia, kiedy odbyło się porwanie doktora, zaproponował mu pewien jegomość, by pojechał odwieść chorego umysłowo do pewnego zakładu w Mokotowie. Chory cierpi na urojenie, że jest wielkim działaczem społecznym i pra-

gnie zdobyć dla Polski kolonje w Afryce. Ów tajemniczy jegomość powiedział, że nie powinien się dziwić, jeśli będą postępowali trochę brutalnie z „chorym", ale z warjatami inaczej nie można, wogóle sama podróż obmyślona jest jako zabieg leczniczy, w tym celu pacjentowi m. in. założy się radjowe słuchawki na uszy, by posłuchał odczytu o Afryce, a następnie ulokuje się go w szpitalu.

Rzeczywiście, gdy zajechaliśmy przed mieszkanie dr. Żarnickiego, wyszedł jakiś pan, którego trzeba było następnie gwałtem wsadzić do auta. Wydzierał się i pomstował, zwyczajnie jak warjat.

— A potem co się stało?

— Ano, pojechaliśmy do Mokotowa w kierunku zakładu dla umysłowych dr. Zaskiego. Niedaleko zakładu ci panowie, co konwojonizowali tego warjata powiedzieli, że dalej go już poniosą, zapłacili mi suty napiwek i poszli. Co dali, nie wiem, proszę najjaśniejszego sądu.

— Czy w boksie, w którym stoi pańska taksówka stoi także limuzyna bankiera Goldsteina? — zapytał adwokat dr. Żarnickiego.

— Owszem, stoi.

— A czy ten człowiek, który namówił podsądnego do tej jazdy z „warjatem" przychodził kiedy w interesach bankiera?

— Nie przypominam sobie.

— A to szkoda.

— Nic na to nie poradzę — odparł szofer. Wyrobisz uśmiechnął się jakby szelmowsko.

— A czemu to oskarżony w restauracji opowiadał, że sprawiono tęgie cięgi jakiemuś doktorkowi, co tumani ludzi afrykańskiemi kolonjami. A więc, jak właściwie było, czy oskarżony zdawał sobie sprawę, że brał udział w gwałcie na osobie?

— O nijakim gwałcie nic nie wiem, a warjat to nie jest żadna osoba. Co się zaś tyczy tego, co mówiłem w restauracji, to powtarzałem tylko to, co mi powiedział ten jegomość z zakładu dla warjatów.

— Ale świadek, który w tej sprawie zeznawał powiada, że oskarżony naśmiewał i naigrawał z tego afrykańczyka.

— Jaki to tam świadek, to żaden świadek, to fiume, to jest pijak, co jak zaleje robaka, to mu się po głowie roją różne głupstwa.

Sąd postanowił zarzadzić konfrontację z robociarzem z Czerniakowskiej, który pierwszy wprowadził na ślad sprawców.

Nasz poczciwina, oczywiście już nieco pod gazem, stanął przed kratkami z miną dziarską.

— Proszę wysokiego sądu, że pijak jestem, to jest proste oszczerstwo. Że tam sobie dziabnie człowiek troszkę, to ino aby rezon był, bo nijak po świecie chodzić kiej na duszy smutno, prawdę mówię, jak przenajświętszy sąd szanuję.

— A jaką ręką świadek bierze za kieliszek? — wtrącił z miejsca adwokat szofera.

— Jakto jaką ręką? a juści moją ręką.

— Ale którą — lewą czy prawą?

— A czy ja tam mogę pamiętać — wszystko jedno przecież, byle tylko do gardła trafić.

— No, jak świadek nie pamięta tego, co jeszcze najlepiej robi, to co świadek wogóle może pamiętać.

— Panie adwokacie — odezwał się przewodniczący sądu — to niema nic do rzeczy.

— Owszem, ja tylko chcę ustalić stopień wiarogodności świadka.

— Niech świadek powie, co słyszał od tego tu podsądnego w szynku.

— Ano, to było tak. Moja stara nawymyślała mi...

— Do rzeczy.

— Właśnie, gdyby mi moja ślubowana małżonka nie nawymyślała, to nie poszedłbym do szynku.

— A często świadkowi wymyśla żona? — rzucił adwokat Wyrobisza.

— Panie mecenasie, proszę nie rozpraszać uwagi świadka.

— Przeciwnie, ja usiłuję wprowadzić go w kontenans.

— Niech świadek mówi.

— Kiedy mi nawymyślała moja starucha, poszedłem do szynku, a tu słyszę przechwala się jeden, o ten właśnie szofier, że wywiózł jednego takiego, co Afryką mani ludzi. Ja mu na to: łżesz, psia paro, to je porzundny człowiek, banany byś żarł, a skrzywdziłeś takiego, co ci je chce do gęby przybliżyć. Ale taki jak twój pysk to tylko prać, a nie bananami opychać. No i tak od słowa do słowa, przemówiliśmy się trochę...

— A świadek nie bił tego pana?

— Nie, ja tylko mu podsunąłem pięść pod nos, trzeba moresu go uczyć.

— A czy protokół spisała policja i świadka zasądzili za pobicie?

— Ano zasądzili, ale nie krzywduje sobie, bo dla dobrej sprawy. Protokół to i spisano, dla urzędowego porzundku, a zasądzić to mnie zasądzili, ale z zawieszeniem na dwa lata; je przecież sprawiedliwość na świecie, proszę przenajświętszego sądu.

Wysoki sąd uśmiechał się, wysłuchując tych zwierzeń jowialnego opoja, grzeszącego zbytnią porywczością.

— Czy przenajświętszy sąd pozwoli, jeszcze słóweczko. Chciałem najpokorniej prosić o jakieś takieś pisanie niby do mojej baby od sadu, że byłem na świadka i że ta moja awantura po pijanemu przydała się do wymiaru sprawiedliwości. Bo inaczej baba zrobi mi taki protokół, że popamiętam go ruski miesiąc...

(Dokończenie nastąpi).

Dokończenie artykułu: **„Dzwon".**

— Moi drodzy bracia, moi drodzy przyjaciele, moje kochane dzieci, mam coś wam wyznać...

W tym momencie dzwonienie jasne, czyste, srebrne rozśpiewało się na wieży i wypełniło stary kościół.. Wszystkie głowy odwróciły się i szept zachwytu przebiegł ławki wiernych:

— Nowy dzwon! Nowy dzwon!

* * *

Czy to był cud? I czy to Bóg sprawił, że Jego anieli przynieśli nowy dzwon, ażeby ocalić honor swego litościwego sługi?

Czy może Scholastyka zwierzyła się z kłopotów swego starego pana dwom Amerykankom — wiecie? — Suzie i Bettinie Percival, które zamieszkiwały piękny zamek w odległości trzech mil od Lande-Fleurie, i czy te szlachetne panie porozumiały się może między sobą, żeby zrobić ks. Corentin tę piękną niespodziankę?

Co do mnie, drugie wyjaśnienie nastręczałoby jeszcze więcej trudności niż pierwsze.

Jak się stało, tak się stało, ale mieszkańcy Lande-Fleurie nie dowiedzieli się nigdy, co im miał wyznać ks. Corentin.

Jules Lemaître.

NA FALACH CZASU

Krew purpurową falą spływa wciąż po kartach historji. W tym roku więcej może niż w poprzednim. Przez Europę idzie serja zamachów, z których każdy wykrusza to jedną to drugą cegłę z gmachu pokoju powszechnego. Zaczęło się to rozruchami lutowemi w Paryżu. Potem poszła serja sabotaży w Austrji. Dalej zamach na rumuńskiego ministra Ducę. Następnie masowa egzekucja niektórych przywódców nazich. „Niektórych" równa się w tym wypadku blisko 1500 głów, które padły pokotem. Jako dopełnienie tej hekatomby padł w Austrji kanclerz Dollfuss. Skolei demon krwi przeniósł się spowrotem na zachód, reżyserując ostrą rewoltę w Hiszpanji. Po pierwszej rewolucji sprzed lat trzech stosunki na iberyjskim półwyspie nieco się ułożyły. Po obaleniu nienawistnej monarchji przyszła republika de Lostrabajadores — rzeczpospolita robotników. Początkowo trzymali w niej ster ludzie najskrajniejszych poglądów. Wkrótce jednak ocknęło się społeczeństwo z oszołomienia rewolucyjnego i spostrzegło, że, o ile z monarchją było mu źle, o tyle z republiką jest gorzej. Dziki radykalizm siepaczy i podpalaczy niedaleko zaprowadził: na brzeg ruin i cmentarzy. Przyszła reakcja, działająca zresztą w drodze legalnej. Zrównoważona, umiarkowana część opinji, korzystając z ustroju parlamentarnego, w czasie wyborów zamanifestowała głosowaniem co myśli o „permanentnej rewolucji", odwzorowanej na najjaskrawszych moskiewskich wzorach. Z wyborów wyszły liczne grupy środka, a obóz socjalny został znacznie uszczuplony w swej reprezentacji. Pozwoliło to przywódcy radykalnych republikanów, G. Leroux, zbudować na nowych podstawach swój rząd. Postanowił on wejść w kontakt z bardzo silną reprezentacją katolicką grupy Gil Roblesa, młodego, utalentowanego polityka. Nastąpiło dość szybko porozumienie, które pozwoliło na utworzenie rządu, w którym katolikom przypadły trzy teki, w tej liczbie teka sprawiedliwości. Młody obóz katolicki odznacza się bowiem nastawieniem reformatorskiem. Szczególnie pilna uwaga zwrócona jest na problem agrarny. Kwestja reformy rolnej stanowi jedno z podstawowych zagadnień społeczno-gospodarczych w Hiszpanji. Trudno bowiem uznać za normalne stosunki, w których kilkunastu czy kilkudziesięciu obszarników skupia w swych rękach całą ziemię w kraju, a ogromna reszta ludności wiejskiej cierpi nędzę, przypominającą, powiedzmy, przysłowiową nędzę Hucułów czy, dla odmiany, chińskich kulisów. Lecz domaganie się sprawiedliwości społecznej dla zdeklasowanego chłopa, nie mogło być żadną miarą równoznaczne z hasłem masowych mordów i podpaleń. Tego rodzaju polityki teroru nie chcieli zresztą nietylko katolicy, nie chcieli jej również i liberałowie. Gdy więc obie te grupy obróciły się frontem do socjalistów i im podobnych wywrotowców, czerpiących natchnienie od Trockiego, rewolucja została „wpędzona w katakumby". Tam przygotowywała się pocichu na godzinę odwetu. Jego hasło padło wczesną jesienią. Zbuntowała się prowincja z Asturją na czele.

I znów popłynęła krew, przedewszystkiem ofiar spośród kleru, a dalej zabłysły łuny. Lecz rząd Lerroux'a umiał okazać twardą rękę. Powstanie zgnieciono. Przywódców schwytano i postawiono przed sąd.

Tak skończył się drugi rozdział nowoczesnej rewolucji hiszpańskiej.

Ten duch krwiożerczy przerzucił się przez Pireneje do sąsiedniej Francji, inscenizując tu ohydny zamach na ministra Barthou i gościa rządu francuskiego, króla Jugosławji, Aleksandra. Padli oni ofiarą macedońskich zamachowców, którzy już oddawna mierzyli w króla i szukali tylko sposobności. Nie



W kwietniu 1933 r. prezydent republiki Zamora w najmilszej zgodzie odbywał oficjalne przejażdżki z ówczesnym premjerem Azaną, dziś katalońskim rewolucjonistą i przestępcą stanu.



Prezes rady ministrów Lerroux, którego przyjście do władzy stało się hasłem dla rewolty socjalistycznej.

znaleźli jej w Bułgarji w czasie ostatniej wizyty króla w Sofji. Byłoby to zbyt niebezpieczne wobec grożących represyj. Poszukali więc odpowiedniej scenerji dla swego mordu we Francji. Sprzyjała im znakomicie demoralizacja, jaka przeżera policję francuską, najgorszą, najbardziej skorumpowaną, najniedołężniejszą policję na świecie. Dość powiedzieć, że opinja publiczna dziś głosi, że prezydent Doumer padł z ręki Rosjanina Gorgułowa przy cichej aprobacie, jeśli nie poleceniu, policji, a zwłaszcza jej wydziału t. zw. Sûreté National. Działał on pod natchnieniem zemsty za niepowodzenie Brianda w czasie wyborów na prezydenta. Bracia wtajemniczeni, synowie wdowy, których Briand był wybitnym członkiem, potrafili się zemścić.

W wypadku zamachu marsylskiego mamy, zdaje się, do czynienia nietyle z planowaną i patronowaną przez policję zbrodnią, ile z niedołęstwem organów bezpieczeństwa. Tak czy inaczej, Jugosławja ma prawo mieć słuszny żal do swej starszej sojuszniczki, że naraziła kraj zjednoczonych trzech narodów na taki cios. Położenie młodego królestwa południowych Słowian istotnie nie jest łatwe. Jedność ta nie jest dostatecznie utrwalona. Trumna Aleksandra w pierwszej chwili wywołała odruch solidaryzmu, łączący u jej kirów nawet opozycję ze Słoweńcem, księdzem Koroszecem na czele. Ale, gdy okres oficjalnej żałoby minie i wrócą na światło dzienne, zepchnięte dziś przez blask gromnic, trudne problemy trójjedności? Co będzie wówczas? Czy regencja z dzieckiem w koronie podoła zadaniu? Czy nie zostanie wysunięta postać więzionego w szpitalu starszego brata zmarłego Aleksandra, księcia Jerzego? I co z tego mogłoby wyniknąć?

Trzeba przyznać, że Nemezis dziejowa bywa okrutna w swej surowości. Poznała to na sobie dynastja Karadżordżewiczów, która, mając na rachunku swego sumienia krew Obrenowiczów (zhańbionych „mezaljansem“ z Dragą) i krew Habsburgów, która spłynęła w Sarajewie, dziś wyrównuje bilans dziejowy krwią Aleksandra, przelaną na madryckim bruku.

Marsylska egzekucja ugodziła nietylko w osoby, ale i w pewne systemy polityczne i w pewne kalkulacje. Jugosławja, szukając sprawców swego nieszczęścia, zwraca się przeciwko Węgrom z zarzutem, że hodowali irrydentę i jaszczurczą emigrację terorystów chorwacko-macedońskich. Tego rodzaju oskarżenie, chce powtórzyć w Genewie przed Ligą Narodów. Oczywiście irytuje to nietylko Węgry, ale i Włochy, stojące za niemi. A przecież celem wizyty Aleksandra we Francji miałoby być zbliżenie z Włochami. Dziś nietylko go niema, ale jest raczej oziębienie stosunków z Francją, a zato zachwyty i zaszczyty dla Göringa, jako przedstawiciela Niemiec. Nastraja to znów na wyższy ton czujność Francji, która przez usta marszałka Petaina alarmuje świat o zbrojeniach Niemiec. Z drugiej znów strony rozlatująca się Mała Ententa uległa niespodzianie scementowaniu. Jugosławja nie pójdzie na politykę samodzielną. Rumunja wraca na tor filofrancuski. Dowodem tego powrót Titulescu do teki min. spraw. zagr. Czechosłowacja odetchnęła po chwilowej izolacji. Węgry zato zostały znów osaczone. W porę bardzo przypadła im wizyta min. Gömbösza w Warszawie, gdzie obok kwestyj kulturalnych mógł on pomówić o niektórych zagadnieniach politycznych,



Obrazek z krwawych dni tłumienia rewolty socjalistycznej w Madrycie.

zwłaszcza z pogranicza polsko-czesko-węgierskiego, gdzie nagromadziło się sporo materjału palnego. Wystarczyło to dostatecznie do ciekawych rozmów, nawet bez poruszania nowej koncepcji układu Rzym-Budapeszt-Warszawa. Koncepcja ta klinem wchodzi w koncepcję Barthou o pakcie wschodnim. Niewątpliwie pomysł tego paktu wraz z jego twórcą legł w trumnie. Następca Barthou, min. Laval, umie już bardziej realnie ujmować rzeczy i dlatego skłonny jest przyjąć korekturę polską koncepcji paktu. Nie brak zresztą we Francji głosów, że wogóle ten pakt jest zbędny, a nawet szkodliwy. Narobił już tyle nieporozumień, a przyczynić się może do zasadniczego rozczarowania na punkcie zbliżenia w Sowietami. Wartość tego zbliżenia jest złudzeniem. Choćby Sowiety miały nawet najlepsze lotnictwo, to jeszcze jest wątpliwe czy pomogą Paryżowi, gdy mu zagrożą niemieckie samoloty.

Poza sferą polityki zagranicznej nie brak Francji także kłopotów wewnętrznych. W polityce krajowej wrzenie. Rząd Doumergue'a, rząd zgody narodowej, ustanowiony po rozruchach lutowych, miał między innemi przeprowadzić pewne zmiany w konstytucji francuskiej, zmierzające w kierunku wzmocnienia władzy. Wyzwolenia jej z partyjnych sideł. Poparcie dla tej sprawy znajdzie się i w szerszych grupach społeczeństwa. Zdrowy jego odłam ma już dosyć tej ustawicznej huśtawki zmian rządowych, wywoływanych przez różnych politycznych linoskoków. Takich co to „lubią kłótnię więcej niż cokolwiek z wyjątkiem chyba buntu, a bunt więcej niż cokolwiek prócz chyba rewolucji; zawsze gotowi wszystko potłuc, potem zburzyć bruk, dalej obalić rząd, a wszystko dlatego, aby widzieć, jakie będą tego następstwa". Tej gry opinja ma już dosyć. Następują bowiem głębokie zmiany w jej nastawieniu. Trawestując słynne powiedzenie V. Hugo, możnaby stwierdzić, że „demokraci stają się liberałami, liberali rojalistami". Lud francuski odchodzi od bałwana demokratycznej republiki i skierowuje się w stronę ołtarza konstytucyjnej monarchji. Oczywiście różni socjal-partyjnicy starają się temu za wszelką cenę przeszkodzić. Przoduje im Herriot, któremu też ulica paryska poprzysięgła zemstę. Ulica ma już dosyć „świetnych przygód rewolucyjnych", pragnie spokoju, a skoro nie może go zapewnić parlamentaryzm, wywracający rządy jak kręgle, w takim razie zwraca się do innego systemu. Ulica ma już dosyć despotyzmu stugłowej hydry parlamentarnej, i chętnie poddałaby się absolutyzmowi oświeconemu. Zresztą co tu mówić. Francuzi z instynktów swoich są monarchistami, podobnie jak Anglicy demokratami. O ironjo, Francuzi mają republikę, będącą parawanem bezładu, Anglicy monarchję konstytucyjną, doskonale równoważącą grę dwu przeciwnych żywiołów społecznych: prawicy i lewicy. We Francji żywioły te są w stanie ustawicznego wrzenia, w Anglji w równowadze z tendencją do zmiany, że tak powiem, uwarstwienia, raz na górze lewica, drugi raz prawica. Niewątpliwie jest to zdrowszy stan rzeczy, niż to wrzenie francuskiej republiki, gdzie władza stała się doprawdy rzeczpospolitą, rzuconą na pastwę rozgrywek partyjnych, mobilizujących ulicę. Dziś więc stała się we Francji aktualna zmiana konstytucji. Mówiąc nawiasem, konstytucja III-ciej Republiki była dziełem monarchistów, którzy na chwilę dopuszczali Republikę, by po niej jaknajśpieszniej wskrzesić cesarstwo. Jest to więc prowizorjum, które się ustabilizowało na fundamencie wszystkich swych wad.

Z PIŚMIENNICTWA

Zanim przyjdą pierwsze mrozy, w podlaskiej Okrzei, która jest obecnie centrum Sienkiewiczyzny, wzrośnie o drugie tyle kopiec, sypany tam ku chwale Sienkiewicza. Inicjatywa sypania kopca wyszła akurat przed dziesięciu laty od ks. biskupa Henryka Przeździeckiego z Siedlec. Wyjeżdżając na uroczystość przeniesienia Sienkiewicza do katedry warszawskiej, pisał do młodzieży siedleckiej: „Czyby nie było wskazanem, a nawet koniecznem, aby w miejscu jego urodzenia stanął kopiec na świadectwo, że Sienkiewicz serca nasze wgórę zwrócił, oderwał od egoizmu, związał z zamiłowaniem Ojczyzny, opartem na Bogu — źródle wszelkiej si y i piękna, na miłości, obejmującej wszystkich".

Dziesięć lat — to okres pokonywania najprzeróżniejszych trudności, stawianych często przez tych nawet, którzy powinni służyć pomocą, jednak dzięki naprawdę niezmordowanej energji proboszcza okrzejskiego — ks. dr. Antoniego Kresy, od dwóch lat kopiec wzrasta. Do jesieni ostatniej nasypano 900 m³, przed zimą przybędzie nowych 1000 m³, tak że kopiec osiągnie już wysokość 3 m. Będzie to prawie czwarta część roboty, która odtąd posuwać się będzie prędzej, bo trzeba tu zaznaczyć, pierwszy metr o największej średnicy wymagał ziemi najwięcej. Ze zwężaniem się ku wierzchołkowi, na którym sczasem stanie pomnik Sienkiewicza, każdy następny metr objętościowo będzie mniejszy. W sypaniu kopca brały udział liczne wycieczki, grono oficerów w okresie manewrów letnich, przedstawiciele najrozmaitszych warstw, jest to jednak udział raczej symboliczny, świadczący o kulcie Sienkiewicza w szerokich masach. Najwięcej wzrasta kopiec wtedy, gdy go sypią najemni robotnicy [1].

— W najgorszych czasach, jakie można sobie wyobrazić, budujemy kopiec — mówił mi ks. Kresa, kiedy tej jesieni przemierzałem strony rodzinne Sienkiewicza [2] — On będzie, on musi być! Trudno powiedzieć kiedy, ale będzie.

Owszem, będzie, gdy do szlachetnego zapału jednostki dodana będzie pomoc tych wszystkich, dla których lektura dzieł Sienkiewicza jest nadal źródłem najmilszych wrażeń i przeżyć.

Osiemnastolecie śmierci Sienkiewicza w Warszawie obchodzone było uroczystem nabożeństwem w katedrze i zarazem zbiórką na rzecz Polskiej Macierzy Szkolnej, której pierwszym prezesem był on właśnie.

Jeśli chodzi o czczenie zasług pisarzy o silnem oddziaływaniu w okresie przedwojennym, to trzeba też wspomnieć o odznaczeniu nagrodą im. Orzeszkowej niemniej od niej popularnej autorki — Marji Rodziewiczówny. Nagrodę tę w wysokości 7000 zł. przyznaje Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy i to Rodziewiczówna może uważać za swój ogromny sukces. Jest to również jakby zadośćuczynienie za wieloletnie przytyki krytyków, którzy jak np. Ignacy Matuszewski w „Przeglądzie Tygodniowym" z r. 1892, nazywali twórczość Rodziewiczówny „mieszaniną kłamliwej romantyczności z płytkim realizmem" [3]. Dziś z dalekiej perspektywy widzi się, że krzywdzono Rodziewiczównę. Oczywiście, na kilkadziesiąt powieści są szablonowe i przeciętne, ale przecież ta sama Rodziewiczówna jest autorką tak artystycznych powieści, jak „Lato leśnych ludzi" czy „Dewajtis". Łatwo krytykowi wymagać dzieł, któreby zaspokoiły jego żądze estetyczne, ale cóż z tego, gdy takiej literatury nie chce czytać szeroki ogół? Że Rodziewiczówna pisała dla ogółu i że dlatego obecnie, według zestawień statystycznych, jest jedną z najpoczytniejszych autorek, to nie powinno być poczytane jej za grzech. Ogół potrzebuje lektury rozrywkowej, która przytem kolportuje pewne ideje, dlatego lepiej, gdy czyta Rodziewiczównę, niż takie fabrykantki literatury kuchennej jak Irena Zarzycka lub Mieczysława Łuczyńska; zwłaszcza ta ostatnia, która ma już podobno dwa razy tyle powieści co... lat.

Tyle o literaturze, której punkt szczytowy dawno jest poza nami. Co do literatury dzisiejszej, to Polska Akademja Literatury przeży a chwalebnie rok. Według sprawozdania sekretarza generalnego „tej szanownej instytucji" — Kaden-Bandrowskiego [4], zrobiono niby dużo, a więc gotowy jest regulamin wewnętrzny, następnie współdziałano z sądami różnych konkursów literackich, brano „udział w pracy nad wykładaniem języka polskiego w szkolnictwie powszechnem i średniem", współpracowano w projekcie ustawy bibljotecznej, przygotowuje się odznaczenia pod nazwą: „Wawrzyn Akademicki", wreszcie nawiązano związki z młodymi. Akademja — jak mówił Kaden-Bandrowski — „zyskuje coraz większe zaufanie i miłość społeczeństwa". Nie trzeba być specjalnie złośliwym, by zauważyć, że każde sprawozdanie jest zachwycające, a specjalnie to, które stylizuje świetny bądźcobądź stylista.

„Zasada pracy dla młodych" wysunięta w Akademji — to realizacja zapowiedzi wywiadowych prezesa Sieroszewskiego. Zdaniem Kaden-Bandrowskiego, to „zmniejszy niepotrzebne tarcia", więc wygląda to wszystko na dążenie do zapewnienia sobie spokoju, choć dotąd każde nowe pokolenie literackie zaczynało od ataku na uznane wielkości. Akademja tego się widać lęka, choć prawdziwej wielkości ataki zaszkodzą akurat tyle, co psie wycie księżycowi. (Lecz niech to nie będzie przesłanką do

---

1) Konto P. K. O. komitetu budowy kopca nosi numer 143.913. Nawet złotowa ofiara zwiększa objętość kopca prawie o 3 m³.

2) Reportaż z tej podróży, który wywołał polemikę, drukuje „ABC literacko-artystyczne" p. t. „Kraj lat dziecinnych Sienkiewicza".

3) Pisma. T. I. Warszawa 1925. Str. 7.

4) Polska Akademja Literatury w roku ubiegłym. Odczyt radjowy 6. 11. 1934.

wyciągania wniosku, że w Akademji niema wielkości.) Ten lęk połączony jest z ugłaskiwaniem wężów najjadowitszych. Zabawne doprawdy, że stypendja Akademji dostali komunizujący poeci krakowscy Wojciech Skuza i Marjan Czuchnowski, których na kilkanaście dni przedtem konkietował Stanisław Piasecki, pisząc, że „czerwień młodej chłopskiej literatury jest tylko połową czerwono-białego sztandaru, który nigdzie głębiej nie jest wbity w ziemię, niż na wsi. Poprzez klasową ornamentykę aż bucha piśmiennictwo chłopskie polskością" [5]. Przyznanie stypendjów państwowych literatom czerwonym narazie wyglądało na to, jakby Akademja chciała zapobiec, żeby broń Boże, nie przeszli oni do obozu narodowego. Warto jeszcze dodać, że stypendja w 80% przyznano poetom, a tylko 20% przypadło na prozaików.

Żeby skończyć z literaturą najmłodszą sygnalizować trzeba rozłam w krakowskiej „Gazecie Artystów", który stworzył „Tygodnik Artystów", następnie ukazanie się „Współczesności Polskiej" (szumny tytuł, treściowo nędza) i zapowiedzieć, że za kilka tygodni wyjdzie pismo Klubu Artystycznego S, które będzie poświęcone szerszym zagadnieniom kulturologicznym, nietylko literaturze.

Ponieważ życie literackie rzadko kiedy obywa się bez skandalików, i ich pominąć nie można. Mirjam-Przesmycki procesuje się z prof. Pinim, który wydał poezje Norwida, choć Mirjam uważa, że tylko jemu to wolno; Kołaczkowski zaatakował prof. Kleinera za jego monografję o Mickiewiczu; wreszcie zaczyna się robić szum spowodu więzienia przez bolszewików poety Witolda Wandurskiego. Był sobie przed laty taki komunista — autor „Śmierci na gruszy" i innych światoburczych historyj. Kiedy się dostał za komunizm do więzienia, w r. 1928 wyciągnęła go stamtąd interwencja elity literackiej Polski. Wandurski pojechał do Rosji, powinien czuć się tam jak w raju, a tymczasem od szesnastu miesięcy siedzi w GPU w Moskwie. „O losie jego ani o przyczynach aresztowania nie wie nikt". [6] Proszę zauważyć: tak się postępuje w Rosji z komunistą! „I co pan na to, panie Broniewski?" — pyta czołowego poetę komunistycznego w Polsce — Władysława Broniewskiego młody poeta Światopełk Karpiński [7].

Pozostawiając sprawę Wandurskiego jego polskim przyjacielom, stwierdzić wypadnie cały kabotynizm polskiej poezji komunistycznej. Jest to w większości wypadków jeszcze jeden rodzaj pozy literackiej, zapewniający dziś poecie popularność. Wystarczy widzieć zapchane fanatycznymi żydziakami sale, gdzie odbywają się recytacje takich poezyj. Niektórym poetom w okresie niechęci do poezji to imponuje. Bolszewikom na rękę jest taka poezja i tacy poeci — jako świadome czy nieświadome ekspozytury propagandy sowieckiej w Polsce; nawet Gosizdat (Wydawnictwo Państwowe) wydaje w Moskwie grafomaństwa takich poetów; jednak w samej Rosji są oni im niepotrzebni. W związku ze sprawą Wandurskiego będzie musiała być nareszcie wyświetlona sprawa naszej poezji komunizującej.

Przed półwiekiem pisma donosiły, że Sienkiewicz przystąpił do pisania „Potopu". Z nowych powieści historycznych ukazały się świeżo „Czerwone tarcze" Jarosława Iwaszkiewicza i „Nurt" Wacława Berenta. Utwór Berenta, przedmiotem którego są pierwsze lata porozbiorowe, nagrodzony został przed paru laty nagrodą państwową jako „Wywłaszczenie muz", innym znany jest jako „Szabla i duch" i kto wie, czy jeszcze raz nie zmieni tytułu. Byłoby to zresztą zupełnie w stylu Berenta: „Żywe kamienie" jeszcze w zapowiedziach księgarskich nazywały się „Opowieścią rybałta". „Czerwone tarcze" — to powieść o księciu sandomierskim Henryku, co to do Ziemi św. na krucjaty chadzał. Iwaszkiewicza cechuje niezwykła plastyka niektórych opisów, przedstawianie postaci z bardzo silną zmysłową sugestją, ale czy „Czerwone tarcze" zdobędą popularność „Potopu"? Osoby zainteresowane będą miały możność porównywać niedługo Iwaszkiewicza z analogiczną powieścią Zofji Kossak p. t. „Krzyżowcy", która częściowo była drukowana w jednym z tygodników, a jest kontynuacją typu Sienkiewiczowskiego. Linja genetyczna Iwaszkiewicza nie z Sienkiewicza się wywodzi.

J. M. Chudek.

5) Literatura chłopska rozwija się. ABC literacko-artystyczne N 41/1934.

6) J. N. Miller: Co się dzieje z Wandurskim? Robotnik N 296/1934.

7) Do poety-komunisty. Pamflet. Kurjer Poranny N 320/1934.

Z TEATRU

Teatr Polski — „Ciężkie czasy" Bourdet'a.

Teatr Polski po szekspirowskim „Śnie nocy letniej" uraczył publiczność warszawską sztuką pisarza francuskiego Edwarda Bourdeta „Ciężkie czasy", mającą posmak aktualności.

Bourdet ma wyrobioną opinję autora bulwarowego, obdarzonego błyskotliwym dowcipem, ale nie gardzącego też efektami drastycznemi, obliczonemi na zdobycie popularności wśród niewybrednych tłumów.

W ostatniej dobie Bourdet złożył wszakże dowody głębszej spostrzegawczości, a że wogóle w fachu literacko-teatralnym jest majstrem pierwszej klasy, krytyka francuska gotowa nawet przyznać mu tytuł „Molliera powojennych obyczajów we Francji", w Polsce zaś dopatrują się w jego twórczości — nie bez pewnej słuszności — podobieństwa z Gabrjelą Zapolską i Włodzimierzem Peszyńskim. (W. Grubiński).

W „Ciężkich czasach" w pierwszych trzech aktach Bourdet jest dość powściągliwym malarzem środowiska burżuazyjno-plutokratycznego wraz z przybudówką, grupującą „wykolejeńców" z tej sfery, w czwartym natomiast daje upust swym zamiłowaniom i grzebie się w obrzydliwych tajemnicach sypialni niedobranego małżeństwa młodej wysportowanej osóbki z kretynem...

Dzieje rozgałęzionej rodziny Antonin-Faure'ów i zaprzyjaźnionych z nimi Lacostów dają obraz „ciężkich czasów" przeżywanych przez współczesną burżuazję francuską, nietyle wskutek kryzysu gospodarczego, ile w następstwie zwyrodnienia moralnego i fizycznego.

Zresztą podstawy moralne tej „elity" społecznej nigdy nie były zdrowe.

Głowa rodziny i firmy Antonin-Faure, Hieronim, w chwili ostatecznego krachu przedsiębiorstwa własnego i Lacostów. Zdobywa się na taką sentencję: pieniądze można albo zbierać, zapominając o wszystkiem innem, albo je wydawać bez przywiązywania do nich wagi. O łączeniu tych dwóch czynności mowy być nie może.

To, co Lacostowie zebrali w ciągu szeregu pokoleń — poszło na marne, roztrwonione przez plenipotenta wdowy po ostatnim zbieraczu i jego syna o „inteligencji pierwotnej" czyli poprostu kretyna.

Rodzina Faure'ów łączyła zbieranie z wydawaniem i fortunę po ojcach zjedli w końcu konkurenci z Lyonu...

Ale w tym całym nieciekawym moralnie środowisku, nie braknie jednostek, które mają dość kultu pieniądza i jego praw. Melanja Lacoste lekceważy dobra materjalne, a w chwili bankructwa firmy na zaspokojenie oddaje swe kamienice i pałace, nie będąc do tego wcale prawnie zobowiązaną. Łudzi się, że wierzyciele „pozwolą jej jeszcze żyć". Naiwna. Zabiorą wszystko i będzie musiała wziąć się do pracy, do której nie jest przyzwyczajona.

Hieronim postępowanie Melanji tłumaczy tem, że w jej żyłach niemasz ani kropli krwi Lacostów, bo weszła tylko przez małżeństwo do rodziny. Zadużo jednak tej nieodświeżanej krwi i tak płynie w jej synie Bobie — degeneracie.

Idealistą jest i rodzony brat Hieronima, Marceli. Ożenił się z jakąś aktorką, zarabia na życie malarstwem i pobiera z przedsiębiorstwa Faure'ów małą rentę, tytułem posiadania kilku akcyj. Wszelkie stosunki z Marcelim od 20 lat są zerwane. Nie przebaczono mu mezaljansu.

Tymczasem Marceli jest najszczęśliwszym w świecie ze swoją Zuzanną, wierną żoną i dobrą gospodynią. Ma syna, który pracuje już jako dekorator kinowy i urodziwą córkę, nowoczesną i wysportowaną. Syn wdał się w ojca, jest niepoprawny idealista. Córka marzy o karjerze aktorki filmowej, czemu sprzeciwia się matka, która zna dobrze ciernie tego zawodu. Córka jednakże odziedziczyła po przodkach tęsknotę do bogactw i to się na niej zemści...

Rodzina Faure'ów przypomina sobie o Marcelim, gdy okazało się, że jego akcje mogą odegrać decydującą rolę przy reorganizacji firmy z udziałem współzawodników z Lyonu.

Marceli z żoną i dziećmi staje się miłym gościem w domu Hieronima. Ale interesy firmy idą coraz gorzej — nietylko niektórym członkom rodu zabraknie pieniędzy dla przyjaciółek w Paryżu, ale wogóle wszystko wpaść może w ręce lyończyków. Niespodziewanie jednak przychodzi ratunek. Kretyn Bob Lacoste po uszy zakochał się w córce Marcelego, Annie: gdyby małżeństwo doszło do skutku — firma Antonin Faure byłaby uratowana. Dostanie kredyt miljonowy, bo Lacostowie to jedna z najbogatszych rodzin we Francji...

Rodzice, mimo perswazji Hieronima, wahają się zaproponować córce małżeństwo ze śmiesznym zwyrodnialcem. Ale córka — z radością przyjmuje oświadczyny Boba — chce być bogatą.

Jak wygląda jej życie z kretynem w roli małżonka, widzimy z aktu 4-go. Autorowi chodziło o niezdrową sensację, więc nie krępował się w szczerości, niczem nasze feljetonistki z czerwoniaków... A przecież można byłoby obyć się całkiem bez nadmiernego naturalizmu budzącego obrzydzenie.

W tym stanie rzeczy przychodzi bankructwo Lacostów, pociągające za sobą i krach Faure'ów.

Marceli, Zuzanna i ich syn nie przejmują się tem wcale. Z głodu napewno nie umrą. Umieją pracować. Anna staje się aktorką filmową, a zamiast bogactw — ma teraz męża niedołęgę, którego będzie musiała karmić. Kto wie zresztą na co się jeszcze zdecyduje. W każdym razie po powierzchni życia pływać potrafi.

Lecz co pocznie Melanja i całe gniazdo Faure'ów, składające się z przedstawicieli aż czterech pokoleń?

Widz zresztą nie odczuwa dla nikogo z Faure'ów sympatji, chyba dla zgrzybiałej babki rodu



„Ciężkie czasy": pp. Brydziński, Pancewiczowa, Smosarska, Gellówna i Samborski

i chorej umysłowo Ernestyny, której się nie widzi, lecz tylko o niej słyszy. To także ofiara nie nieodświeżania krwi w celu nierozpraszania fortuny...

Prawdę mówiąc tylko psychika Hieronima jest przez autora wycyzelowana. Wszyscy inni to rysunki szkicowe, wprawną rzucone ręką.

Najlepiej udał się Bourdetowi akt drugi pełen żywej akcji i humoru, najsłabiej — akt pierwszy, wprowadzający nas w zawiłe stosunki rodzinne Faure'ów.

„Ciężkie czasy" w Teatrze Polskim grane są koncertowo przez siły pierwszorzędne. Wystarczy powiedzieć, że rolę pani Antonin-Faure (babki) gra Stanisława Wysocka, Karoliny Hieronimowej — Broniszówna, Zuzanny — Gella, Anny-Marji — Smosarska, Lulu — Hańska. Role męskie odtwarzają Brydziński, (Marceli), Samborski (Hieronim), Daczyński (Bob), Łuszczewski (Maksym), Brodniewicz (Armand).

Mimo świetnej gry artystów i starannej reżyserji oraz mimo daleko posuniętej „szczerości naturalistycznej" w ostatnim akcie — a może właśnie dlatego — widownia teatru na nadmiar widzów uskarżać się nie może. Ciężkie czasy... **L. Rad.**

„Typ A". — Morozowicz-Szczepkowskiej w teatrze Ateneum.

Trudno zgodzić się ze zdaniem autorki, że sztukę p. t. „Typ A" można zaliczyć do komedyj. Zbyt wiele ona sobie pochlebia, sądząc, że widz bawi się doskonale jej humorem lub dowcipnemi spostrzeżeniami.

„Typ A" jest może w swoim rodzaju sztuką klasyczną, a nawet epokową, sztuką, która najpierw wywołuje chaos myślowy, a jako reakcję wtórną refleksję na temat: co autorka zamierzała powiedzieć i pokazać, a co z tego wynikło?

Jedno jest pewne, że nawet ze swoiście „naukowego punktu widzenia" autorki trudno jest zaaprobować filozoficzne, nowoczesne ujęcie zagadnienia walki płci przy jednoczesnem zaprzeczeniu istnienia rodziny, oraz sposób i metody regulowania t. zw. długów wdzięczności.

W postaci uczonej Hortensji, jednej z bohaterek, znalazł rzekomo satyryczne ujęcie i wcielenie niezmiernie obecnie popularny rasizm. Założeniem jest teorja, że skoro przez dobór odpowiednich osobników ulepsza się rasę zwierząt, w tenże sam sposób powinno się ulepszyć i rodzaj człowieka. Przywilej rozmnażania się mogą mieć ludzie, którzy odpowiadają pewnym nauką określonym warunkom i wymaganiom. Proces tworzenia — wylęgarni nowego człowieka będzie przechodził fazy „matkarni", „rodzieńca" i t. p.

Uczucie miłości małżeńskiej, macierzyńskiej, ojcowskiej jest wykluczone. Gdyby w którymś osobniku obudziły się te „niezdrowe instynkty" jako remedium zastosuje się zastrzyk, po którym wraca się do równowagi psychicznej i bezczucia. Wychowanie dzieci będzie zorganizowane, standaryzowane przez państwo.

Rodzice nie mają żadnych praw do swych dzieci. A więc problem rodziny w sztuce M. Szczepkowskiej, rozwiązany jest w ten sposób, że rodzina jest bezużytecznym przeżytkiem, wywierającym na dzieci wpływ destrukcyjny.

A teraz drugie zagadnienie litości i miłosierdzia dla bliźnich. Według religji ludów względnie cywilizowanych, obowiązkiem człowieka jest bezinteresowne niesienie pomocy bliźnim, znajdującym się w nieszczęściu. Tymczasem w tej sztuce i to zagadnienie jest ujęte tak jakoś naukowo materjalistycznie i nawet po barbarzyńsku.

Oto pewnego mroźnego dnia w bramie domu znajdują zmarzniętego, wynędzniałego, głodnego bezrobotnego człowieka, który daje zaledwie słabe oznaki życia. Zaopiekowały się nim 3 kobiety. Uczona Hortensja, następnie sąsiadka jej malarka Iza, oraz trzecia, dziewczyna ulicy, Mańka, która w owym czasie pozowała malarce. Dzięki ich opiece młody organizm nędzarza zwycięża chorobę i powraca do zdrowia. Jest to młody, doskonale zbudowany mężczyzna.

Uczona Hortensja widzi w nim zespolenie wszystkich warunków fizycznych, jakie powinien mieć idealny „Typ A". W odpowiedni znany sposób aplikuje go sobie jakoby „z naukowego punktu widzenia". Malarka Iza widzi w nim harmonijny układ linij ciała — doskonały model starożytnego i nowoczesnego Apolla.

Moment, poprzedzający pozowanie jest b. drastyczny. Mężczyzna niewyzuty jeszcze ze wstydu nie zgadza się stanąć przed kobietą bez ubrania.

Na to w odpowiedzi słyszy miażdżący argument Izy — „przecież nam, trzem kobietom zawdzięcza pan życie, należy więc spłacić jakoś dług wdzięczności.

Tak weksel wdzięczności płaci — nagością.

A Mańka? Ta nie chce wprawdzie pieniędzy, ale żąda miłości.

Wreszcie mężczyzna odchodzi od trzech kobiet, bo tak dyktuje mu honor. On jeszcze chce wierzyć, że „etyki i religji nie zastąpi sama nauka". Więc odchodzi szukać może lepszych pierwiastków życia, bo szumne, hałaśliwe „nowe" hasła i zasady nie mogą dać trwałego zadowolenia. i spokoju nawet najbardziej „postępowemu" człowiekowi. **Iz. Hentzel**

ZE SZTUKI

Wystawa sztuki belgijskiej przedstawia dorobek celowo zebrany społeczeństwa wysoce kulturalnego, o świetnej tradycji artystycznej. Trudno się zresztą dziwić. Na pograniczu wpływów dwu wielkich ośrodków artystycznego życia Francji i Holandji musiało powstać ognisko sztuki wysoko postawionej, łączącej szczęśliwie zalety i wdzięki obu sąsiednich środowisk. W malarstwie belgijskiem znajdziemy też ślady wpływów, doskonale zresztą zamalganowanych, holenderskiego malarstwa, niedoścignionego, zwłaszcza w monumentalizmie portretowym, w sztuce nawskroś dynamicznej, umiejącej operować silną ekspresją rysopisu i dramatyczną logiką kompozycji. Pięknym przykładem służyć może doskonały w skontrastowaniu figur i ich nastroju obraz Waudersa „Szaleństwo Gössa". Coprawda na wystawie mamy tylko szkic do obrazu. Ale właśnie warto mu się uważnie przyjrzeć, by porównać w pamięci z dziełem głównem. Dosadność i precyzja portretowa postaci posunięte do najwyższych granic.



Alfred Stevens: Wizyta (ze zbiorów J. K. M. króla Belgów)

W oryginale centralna postać Gössa zyskuje jeszcze na ekspresji przez szczęśliwe w pomyśle zaciśnięcie rąk.

Wpływy Van Dyka, Rembrandta wydały dzieło dojrzałe i nawskroś oryginalne. Z późniejszych zaś niewątpliwie zaważył van Gogh.

Jeśli chodzi o wpływy francuskie, łatwo je spostrzec w różnych filjacjach ze sztuką Ingresa Degasa, czy Puvius du Chavoneus. Wystarczy się przejść po wystawie, by to stwierdzić, podobnie jak szczęśliwie wykorzystane naśladownictwo impresjonistów i formistów paryskich.

Nie wymieniamy tu nazwisk Belgów, by nie obarczać uwagi czytelnika. Kto pójdzie na wystawę, znajdzie je w katalogu i będzie mógł stwierdzić, że sztuka belgijska żyje bez przerwy bujnem życiem, dobrze zagospodarowanem na terenie zdobyczy sztuki europejskiej.

W Zachęcie zwraca uwagę wystawa Romerowej świetnej reprezentantki akwareli w zakresie tematu uprawiającej pełen wdzięku portret dziecięcy. Jej główki dziecięce tryskają radością i świeżością. Natomiast u Bunscha w jego portretach chłopców jest melancholja.

Na uwagę zasługuje wystawa grupy X-ciu z Krakowa. Spotykamy się tu z najrozmaitszą fakturą, najczęściej impresjonistyczną, co daje szczęśliwe wyniki zwłaszcza w zakresie aktu. Pierwszorzędne tu pod względem rozmachu i śmiałości kompozycji są płótna Grabiny.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

O jak szczęśliwy i roztropny jest ten, który teraz usiłuje takim być w życiu, jakimby pragnął być w godzinę śmierci.

Wielką i niezawodną nadzieją szczęśliwej śmierci, napełni nas zupełna pogarda świata, gorąca chęć doskonalenia się w cnotach, miłość karności, wytrwałość w pokucie, skwapliwość w posłuszeństwie, wyrzeczenie się samego siebie i znoszenie wszelkich cierpień dla miłości Chrystusa.

Dopóki zdrów jesteś, możesz czynić wiele dobrego, lecz gdy słabość nadejdzie, niewiem co uczynić zdołasz. Choroba mało kogo poprawia, tak jak pielgrzymka mało kogo uświęca.

Tomasz à Kempis.

„O naśladowaniu Jezusa Chrystusa".

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW!

Następny numer „Rodziny Polskiej" dojdzie rąk naszych Szanownych Czytelników już po uroczystych dla każdego z nas świętach BOŻEGO NARODZENIA.

Więc, choć może zbyt wcześnie składamy życzenia spędzenia ich jaknajpomyślniej w rodzinnych domach, czynimy to dlatego, aby je zapewnić, że myślą serdeczną będziemy w każdym domu polskim, w uroczystej chwili, w której prastara kolęda, radosną pieśnią stwierdzać będzie, że „BÓG SIĘ RODZI, MOC TRUCHLEJE"...

A w pełnem Boga sercu chrześcijańskiem zanosić razem będziemy dziękczynienia za wszystko co życie niesie, prosić o siły przetrwania, o moc zwalczenia egoizmów, o doskonalenie dusz własnych, aby choć w części przyczyniać się do tworzenia Królestwa Bożego na ziemi, na co czeka cały świat bez czego niema zbawienia ode złego.

REDAKCJA.

MLEKO DLA WSZYSTKICH

Mleko dla wszystkich, oto szczytne hasło, pod którem pracuje Polska Liga Nabiałowa. Jej zadaniem jest udostępnić mleko dla żołnierza, dla dziecka, dla sportowca, dla chorego, dla każdego wogóle. Ale chodzi Lidze o to, by mleko było mlekiem, by było nietylko nie fałszowane, ale żeby było produktem zdrowym, pochodzącym od krów zdrowych, czysto utrzymanych, żywionych odpowiednio, przewożone w naczyniach czystych i z którem rolnik, pośrednik i sprzedawca będzie się obchodził jaknajhigjeniczniej.

Jest to zadanie ogromne i w swych rozmiarach, zamierzeniach i co do wagi znaczenia dla zdrowia ludzkiego więcej niż pilnych i ważkich.

Polska Liga Nabiałowa zaczyna swą pracę w dwu kierunkach: dążenie do ukrócenia niechlujstwa w obchodzeniu się z mlekiem, przyczem opiera się na ustawie z 9, XII, 1932 r. „o nadzorze nad mlekiem i jego przetworami", a po drugie chce równocześnie pomóc producentowi-rolnikowi przez propagandę spożycia mleka przez najszersze warstwy spożywców w całem społeczeństwie.

Czy kto z Czytelników zdaje sobie sprawę, jakie jest w swym składzie mleko miejskie i ile go się wypija w Polsce w porównaniu do innych państw Europy i Ameryki Póln.? Kilka cyfr da nam wyjaśnienie na powyższe pytania.

Miasta	Na głowę rocznie kg.
Warszawa	61,3
Łódź	94,6
Wilno	65,6
Częstochowa	69,0
Sosnowiec	65,6
Królewska Huta	70,0
Poznań	83,8
Bydgoszcz	117,0
Kraków	109,5

Widzimy więc, jak mało się średnio pije mleka przez 365 dni. Trzeba to poprawić, tembardziej, że cyfra „średnia" jest czemś abstrakcyjnem, bowiem nie mówi o tem, ile tysięcy dzieci i dorosłych naprawdę nie korzysta z tego naturalnego dobrodziejstwa, bezcennego skarbu natury, jakiem jest zdrowe mleko.

W Polsce spożycie mleka, łącznie z jego produktami, na wsi wynosi średnio na głowę 243,1 kg, a w mieście tylko 190,1 kg rocznie. Więc to jest znów obraz przybliżony, mówiący nam jednak, co jest naturalne, że wieś może więcej spożywa swego produktu, niż spo-



łeczeństwo miejskie. Różnica polega też na spożyciu masła, bowiem miasto ma go na głowę w konsumpcji 3,13 kg, a wieś tylko 1,23 kg.

Jakże inaczej wygląda to zagranicą! Niestety porównanie wypada grubo na naszą niekorzyść. I tak Ameryka Półn. ma na głowę spożycia 504 kg razem z produktami, a samego mleka 225 kg. Czyżby nas na to samo nie stać było?

A przecież to jest zagadnienie równocześnie nietylko zdrowotne, ale ekonomicznie pierwszorzędne, bowiem produkcja mleka w Polsce ma całoroczną wartość około 2 miljardów zł, i zajmuje pierwsze miejsce pod względem dochodu społecznego w porównaniu z pozostałemi płodami rolniczemi i całym przemysłem! To są cyfry o wielkim ciężarze gatunkowym.

Równocześnie jednak krowa u nas daje zamało dochodu rolnikowi, raz dlatego, że na ogół nie są krowy wykorzystane dostatecznie, bo mogłyby dawać średnio więcej mleka, a po drugie, że ceny osiągane za kg mleka są za niskie. Szczególnie przy niższych wydajnościach, w gospodarstwach uboższych, których nie stać na kupno pasz treściwych, rolnik dokłada do krowy, która staje się drogą maszyną do robienia (w tych warunkach) zbyt drogiego obornika. Trzeba więc starać się o podniesienie ceny mleka, nie sprzedażnej, rynkowej, ale tej, którą rolnik dostaje na rękę od odbiorcy. Jeżeli rolnik dostaje 10 gr za litr mleka, a my w mieście płacimy po 20—30 i więcej, to gdzie się podziewa ta marża? To jakoś trzeba uregulować w uczciwy sposób, by sprawiedliwie został obdzielony rolnik za swój produkt, ten, który pośredniczy w handlu nabiałem (skoro rolników nie stać na zorganizowanie się i na własną sprzedaż) i konsument miejski. Jest to powikłane zagadnienie, które jest jedną z trosk Polskiej Ligi Nabiałowej.

Natomiast pokątny „dziki handel" mlekiem przez niczem nie kontrolowane czynniki, dostarczające mleka „prosto od krowy" w bańce brudnej, mleka o niewiadomem pochodzeniu, a składzie takim, że gdyby Pani Domu wiedziała choć część tego o tem, co się w niem znajduje, toby nawet psu go nie dała — ten musi być bezlitośnie zwalczany i ta walka musi doprowadzić do zwycięskiego końca: unormowania handlu mlekiem tak jak to jest np. z mięsem. Przecież mięso jest pod kontrolą ścisłą, a mleko, stokroć bardziej psujący się i łatwo ulegający zanieczyszczeniu drobnoustrojami produkt, jest dalej tylko tematem dyskusyj, a brud i lekceważenie zdrowia ludzkiego panuje niepodzielnie. Polska Liga Nab., poza stolicą, ma swoje oddziały w Katowicach, w Lublinie i w Łodzi, a spodziewamy się, że niedługo i lwowska Liga Mleka poda nam bratnią dłoń do pięknej współpracy. Trzeba nam jednak do tego pomocy społeczeństwa. Przedewszystkiem Pani Domu winna myśleć o tem, że przez wysiłek celowy, zjednoczony, przez kobietę, można będzie wywalczyć te słuszne postulaty, w imię których bezinteresownie walczy Liga Nabiałowa. Mleko dla wszystkich, ale zdrowe, mleko czyste, mleko prawdziwe, niech się znajdzie wszędzie, i niech się stanie pokarmem, jak chleb, powszednim.

Prof. Dr. Jan Rostafiński.
Prezes P. L. N. w Warszawie.

DOM RODZINNY DLA SAMOTNYCH KOBIET

Wszelkie samotne życie jest ciężkie. Bez otoczenia rodziny, przyjaciół, życzliwych — wlec się muszą dni, zwłaszcza starości — z jakąś tęskną melancholją, której nie rozjaśnia żadne słońce bliskich uczuć, którą niezawodnie krzepi wiara i daje ją znosić z tym spokojem, z jakim człowiek wierzący, znosi wszystko, co mu los niesie, ale, któż te westchnienia: któż te łzy policzy, które zwierzane — samotnej godzinie, szarpią biedne serca ludzkie.

Tu, narzuca mi się pewna refleksja. W przepięknym dramacie Słowackiego p. t. „Kordjan", Bohater, za wielka miłość Ojczyzny, skazany przez Jej wrogów — na śmierć. Do celi — wchodzi ksiądz. Kordjan przed nim klęka. Ksiądz go błogosławi, mówiąc: „Synu powstań z prochu
I leć do Boga, ale przebacz światu.
Teraz, mój synu, przed wieczności drogą.
Niemasz co komu przekazać na ziemi"?

Kordjan odpowiada mi: „Nie".

„I, nikogo na ziemi"? pyta dalej ksiądz.

„Nikogo" — mówi Kordjan.

„Nie byli ludzie przyjaciółmi twemi", bada dalej spowiednik.

„Nikt".

„Tyś mi tego nie powiedział grzechu"... kończy ksiądz.

Bo istotnie musi być jakiś opór psychiczny w człowieku, który niechciał, może nie umiał, może utracił i nieodzyskał, nie utrzymał, nie przywiązał jednak nikogo na ziemi. Popełnia grzech.

Tak, czy owak to się dzieje — sądzić nie można i nie należy. Należy natomiast iść naprzeciw samotnym z tem dobrem słowem przyjaźni, z tą miłością jaką nieobca jest chrześcijańskim sercom, z tą dobrą wolą, która rany leczyć potrafi, a cierpienia koić.

Otóż **Dom**, którego przeznaczeniem ma być **gromadzenie samotnych** kobiet, to właśnie jedna z tych **myśli** prawdziwie chrześcijańskich dusz, które niosą błogosławieństwo pozbawionym domowego ogniska i samotnym istotom, jakich tyle spotykamy dokoła.

Dom taki jest istotną potrzebą. Inicjatorki, z p. Anielą Jeziorańską na czele, zdają sobie doskonale sprawę z trudności, jakie mają przed sobą przy organizacji takiej instytucji. Ale, zbroje w przeświadczenie, że czynią rzecz konieczną dla ulżenia cierpień drugim, nie lękają się żadnych przeciwności. Wierzą, że dobrym natchnieniom Bóg przychodzi z pomocą. Wierzą, że ludzie są ofiarni, że byle im wskazać dobry cel, to grosz swój zawsze dołożą, że nie zawodzi się nikt, kto wierzy w szlachetność ludzką. Ze znakiem krzyża i wiarą w najwyższą pomoc, idą do dzieła ufnie. Znajdują też odzew. Zainteresowanie zbudziły wśród kobiet samotnych duże. Na Nowowiejską 32 m. 7 meldują się kobiety znużone życiem i samotnością, a pełne nadziei, że byle ognisko się zapaliło, to je zgromadzić potrafi i ogrzać spragnione chłodem pustki ich serca.

Dobrej sprawie życzymy powodzenia, niewątpiąc że niebawem będziemy opisywali fakt, poświęcenia murów, błogosławionego schroniska.

L. Kotarbińska.

POMÓWMY O DZIECIACH

„Pożeracze”, to tytuł książki włoskiej autorki Anny Vivanti. Pożeracze — to dzieci, których matki rzucają dla nich drogę do sławy, karjery światowej, drogi artystycznej. Przemożny instynkt każe im złożyć ofiarę z swych upodobań i pragnień na ołtarzu miłości macierzyńskiej, mimo walk i wewnętrznych buntów — zwycięża zawsze. A. S. M. Hutchinson w powieści „Taka to i wolność” przedstawia nam znów kobietę, która nie chcąc wyrzec się swej pracy zawodowej, niosącej jej uznanie i zadowolenie, odda'a wychowanie dzieci w fachowe obce ręce i dzieci te „wzorowo” chowane, po dorośnięciu, nie mając żadnej łączności z domem rodzinnym, który istniał raczej teoretycznie, ni zaufania do matki, kończą tragicznie. Wnuczka, pozostała Rozalji, już inaczej będzie chowana przez babkę, która rzuca wszystko i wraca w zacisze domowe, niestety za późno. Więc i tak źle i tak niedobrze. Ale przecież nauczyłyśmy się, że można pogodzić i naszą pracę zawodową i stanowisko pani domu i co najważniejsze, pogodzić z tem wszystkiem wychowanie naszych dzieci. Naturalnie, że niejednokrotnie, trzeba się wyrzec swych pragnień lub odłożyć je na później — gdy wchodzi w grę dobro dziecka. Niektóre matki jednak poświęcają się swym dzieciom z zaparciem równem samoudręczeniu. I komu wychodzi to na pożytek? Matce zdziera nerwy i zdrowie, a dziecka uczy egoizmu. Czyż koniecznie musi właśnie matka zawiązać Ali wstążkę, gdy jest zajęta np. poważnemi wyliczeniami, czy nie może zrobić tego ktoś z starszego rodzeństwa lub domowników? Czy Jaś nie może iść na spacer z kim innym, gdy matka upada ze zmęczenia, „ach, on taki nerwowy, nie znosi zmian...” skutek taki, że matka leży chora, a Jaś chodzi z kim innym na spacer i nic mu się nie dzieje. Czy koniecznie muszą dzieci krzyczeć nad głową matce gdy ta pracuje umysłowo: „dziecko musi się wykrzyczeć...”, słusznie — ale gdy miejsce i czas po temu. Czyż stanie się co dzieciom, gdy będą się bawić grzecznie pocichu, widząc, że matka pracuje? Wymagając od dzieci uwagi i delikatności, uczymy ich tych przymiotów i na przyszłość w obcowaniu z ludźmi. Dając im nadmierną swobodę, uczymy ich egoizmu i brutalstwa, za co nieraz w życiu będą musiały odpokutować. Dziecko zarówno dobre i złe instynkty nosi w sobie niby ziarno zmieszane pospołu z chwastem wszelakim, od matki zależy, by poświęcając się pielęgnowaniu tej dziewiczej gleby, nie wychowała miast ziarna dorodnego, kąkolu i ognichy. I, stanąwszy na progu starości, nie ujrzała, że cały jej trud i poświęcenie poszły na marne.

Ewa.

ZE „ZWIĄZKU PAŃ DOMU“

Z ostatniego miesięcznika zebrania „Pań Domu”, dowiadujemy się o programie prac na najbliższe miesiące dbałego o dom polski Związku i chętnie dzielimy się nim z naszemi Czytelniczkami, zachęcając je najgoręcej, aby weszły ze „Związkiem Pań Domu” w jaknajbliższe stosunki, praktyczne rady, doskonałe programy, dbałość o dobro domu, z uwzględnieniem jaknajbardziej oszczędnych środków gospodarczych — to wszystko każdej z nas przydać się może, zwłaszcza, że jak wszystko w tej dobie, tak i postęp w dziedzinie prowadzenia domu leci szybkiem tempem i należy chwytać praktyczną wiedzę na gwałt, bo jutro już będą — nowe ulepszenia.

Przewodnicząca Zarządu, p. Halina Lutostańska zawiadomiła członkinie, że przy lokalu Związku otwarta zostanie bezpłatna poradnia kosmetyczna dla członkiń, zabiegi kosmetyczne i wyroby za opłatą ze zniżką dla członkiń.

Oprócz stale prowadzonych kursów, Zarząd Związku organizuje 6-lekcjowy kurs gotowania łatwych potraw dla dzieci w wieku od 10—12 lat. Zainteresowanie dzieci sprawami gospodarstwa domowego powinno stać się niezmiernie ważnym czynnikiem wychowawczym i kształcącym.

Odczytano odezwę Polskiej Macierzy Szkolnej w sprawie likwidacji analfabetyzmu. Na wniosek przewodniczącej, członkinie zobowiązały się przyjąć udział w tej akcji.

Następnie p. Halina Mamelokowa wygłosiła odczyt „Elektryczność w domu”, ilustrowany przezroczami, dając obraz praktycznego zastosowania elektrycznosci w domu, którego wysłuchano z dużem zainteresowaniem.

Na zakończenie przemówiła w imieniu chorej p. Zofji Zaleskiej — p. Ludwika Bormanowa, redaktorka pisma „Pani Domu”, wzywając do ofiarności na rzecz Baraków. Składki na ten cel wpłynęły doraźnie na ręce p. Motzowej, kierowniczki Sekcji Barakowej.

Następne zebranie członkiń Związku odbędzie się dn. 7 grudnia r. b., przy ulicy: Nowy-Świat 9.

PORADNIA DLA STROJU KOBIECEGO

Nic praktyczniejszego i sądzimy — pożyteczniejszego w tej dziedzinie, nadto. co nam dała Redaktorka „Bluszczu", p. S. Podhorska-Okołów, organizując **Poradnię** w sprawach stroju kobiecego. Tem więcej, że mnóstwo kobiet zajętych pracą zawodową, ani niema czasu, ani po roboczym dniu ochoty, do obmyślania tych różnych drobiazgów, związanych z naszem ubraniem.

Te znów, które zostają w domu, często same krając i szyjąc dla siebie i dziatwy, niemają kiedy chodzić po magazynach i wypatrywać „co modne", to już nawet mniejsza, ale co praktyczniejsze, co lepsze, gdzie tego szukać, kogo wziąć do pomocy, jeśli jej trzeba, słowem setek różnych związanych z codziennem życiem kwestyj.

Poradnia o tem myśli. Stała wystawa z hasłem: „Co najmodniejsze", otwarta codzień, dla zwiedzających ją, przy ulicy Świętokrzyskiej 17, jest pierwszem tego rodzaju przedsiębiorstwem, które ma na celu, objaśnianie, zachęcanie i dobrą radę we wszystkiem, co może ułatwić trudne często do spełnienia zadanie.

Nietylko próby materjałów na okrycia, suknie strojne i praktyczne, nietylko ich modele, nietylko piękne, a niedrogie pokazy szlafroczków i bielizny, ale i buciki i pantofelki i pończochy i rękawiczki i niezliczone ozdoby do wykończania sukien, a nawet tak modna dziś nowa biżuterja, zapełnia szafki, gabloty i półki w różnorodnej, a harmonijnej całości.

Salon pokazów, urządzony z wielkim smakiem, z wyzyskaniem miejsca, z uprzejmem przyjęciem przez miejscowe panie, każdej klientki może nam oddać ogromne usługi, o ile z nich będziemy chciały korzystać.

Brak pracy, a wraz z nią zwiększenie biedy, jest dziś ogólnem zjawiskiem. Ale jednak przy każdej sposobności przypominać należy, że mało mamy odporności w zwalczaniu tych warunków. Szyjących kobiet jest dużo. Szyjących **dobrze**, nadzwyczaj mało. I rzeczywiście stąd i brak zapotrzebowań.

„Poradnia", zapewnia nas, że ma zmobilizowany zastęp pracownic pewnych i dobrze znających swój zawód, których adresami służy w każdej chwili. Będzie to także znacznem ułatwieniem, dla nas.

Pozostaje nam więc tylko pragnąć, aby, doskonale pomyślane, dla ulżenia kłopotów codziennego życia — przedsięwzięcie, znalazło jaknajliczniejsze zapotrzebowanie. Redaktorce „Bluszczu", w którym zdolnemi kobiecemi piórami, poruszane są sprawy najżywotniejsze, Redaktorce, która jednocześnie nie zaniedbuje spraw „Kobiety w świecie i domu", skrzętnie myśli o „Dziecku i matce", a nie pomija tego „Co najmodniejsze", dając piękne „Podręczniki robót kobiecych" — powiedzie się niezawodnie i **„Poradnia"**, czego życzy nasza

Redakcja.

TWORZENIE WZORÓW LUDOWYCH

Wzory haftów ludowych, tworzone przez wiejskie hafciarki, mają swoją ciekawą logikę, od której odstąpić nie można bez uszczerbku dla całości haftu. W różnych stronach Polski zdobią kobiety swe stroje haftem białym, lub kolorowym i najpierw tworzą na dużym kawałku płótna coś w rodzaju szematu który następnie wypełniają odpowiedniemi barwami lub zdobinkami.

Na Kurpiach naprzykład widzimy bogate hafty w przeróżne koła czarno-czerwone złożone z drobniuchnych ściegów, smużek, ząbków i drabinek.

Lecz jeżeli chcemy pojąć technikę tego haftu, szukajmy początku w samym środku dużej gwiazdy lub rozety.



Sokolniki, pow. wołkowyski
fot. Marja Stefkowa.

Jest to zazwyczaj maleńkie kółeczko lub kwadracik zrobione ściegiem łańcuszkowym, które następnie otacza hafciarka rodzajem drabinki, dalej ząbkami, i tak środkowe kółko dostaje kilka lub kilkanaście coraz większych obrączek, aż wyrośnie z niego duża rozeta.

W haftach krakowskich znów wzór zaczyna się od brzegu wypracowanego w zęby z dziurek okrągłych lub podłużnych i stosownie do tych zębów czy ząbków, umieszcza się dalsze serca z robótkami w środku, gałązki lub kwiaty.

W haftach nizanych na wschodzie Małopolski, gdzie haft bogaty zdobi bieliznę wiejską, szemat tworzą hafciarki wiejskie w ten sposób, że również na dużym płacie samodziału snują po lewej stronie wzór czarną nitką, niekiedy wiśniową, która zwie się „temną".

Następnie odwracają robotę na prawą stronę i wypełniają puste miejsca kolorami zależnie od miejscowej mody.

W pismach kobiecych pojawiają się niekiedy notatki, że: „haft huculski robi się ściegiem płaskim lub gobelinowym". Świadczy to jednak tylko o nieznajomości tamtejszej techniki hafciarskiej.

Kiedy mowa o logice haftu ludowego, nie możemy pominąć również okolic Grodna, gdzie w wyszyciach krzyżykowych dominują barwy czarna, czerwona i niebieska zwana „siną".

Na fotografji widzimy wzór bardzo odpowiedni do ozdoby letnich sukienek dziecięcych.

Na dole fotografji uwidoczniony jest szemat w którym odliczyć można pojedyńcze krzyżyki czarne w dwu rzędach, a wśród nich rodzaj tasiemeczki, wypełnionej czerwoną nicią. Motyw niebieski w kratce, przecięty jest na krzyż czarnym paskiem z pojedyńczych, na ukos stawianych krzyżyków w kolorze czarnym.

Wzór ten poszerzony w ten sposób, by zamiast dwu motywów środkowych miał cztery, lub więcej może zdobić samodziałową poduszkę, lub serwetkę.

W kolebce tego wzoru, Sokolnikach, pow. Wołkowysk, w Grodzieńszczyźnie, wyszywają go wieśniaczki na szerokich rękawach koszul samodziałowych.

Wzór taki w żywych barwach podnosi znacznie urodę hafciarki. Kołnierzyk koło szyi i wąskie obszewki przy rękawach zdobią również wąziutkim wzoreczkiem, który możemy z powodzeniem wyszyć na fartuszku dziecięcym.

Wielką wartość mają hafty ludowe wyszywane wprost na płótnie, a nie na kanwie, gdyż wskutek tego wzór staje się ścisły i harmonijny maleńkiemi krzyżykami z lnianą tkaniną.

Marja Stefkowa.

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

„Polskie Zjednoczenie Kobiet Pracujących zawodowo" zorganizowało w salonach Instytutu Propagandy Sztuki, gdzie właśnie trwała jeszcze Międzynarodowa Wystawa Plastyczek — **Wieczór autorek polskich.** Doskonale! Tego właśnie trzeba i to jest wyborna propaganda literatury. — Fragmenty niedrukowanych utworów czytały same, lub czytano za nie, znane zdolne autorki pp.: Boguszewska Helena, Gojawiczyńska Pola, Jasnorzewska-Pawlikowska Marja, Krzemieniecka Lucyna, Kuncewiczowa Marja, Kuszelewska-Rayska Stanisława, Morozowicz-Szczepkowska Marja, Muszałówna Kazimiera, Naglerowa Herminja, Nałkowska Zofja, Szelburg-Zarębina Ewa. Pani Well (Jadwiga Kiewnarska) ze zwykłą swadą, pełną miłego, niezłośliwego dowcipu, wprowadzała każdą autorkę na arenę popisu. — I oto bez bridża, tej zarazy obecnej doby, pięknie spędzono wieczór, drobna opłata za wejście, a pokarmu dla umysłu — do syta!

W tymże Instytucie Propagandy Sztuki salony zapełniły kobiety, wystawiając: **Miniatury i rzeźby.** Portrety — PP. Prezydentostwa Mościckich, istotnie piękne — znanej mistrzyni w tym kierunku, Kazimiery Dąbrowskiej, której miniatury nietylko dają doskonałe dzieła sztuki, ale odtwarzają i fizycznie i duchowo portretowane osoby. Wspaniałą rzeźbę dała rzeźbiarka p. L. Nitzschowa. Wszystko, co było duchową treścią wszechświatowej sławy uczonej naszej p. Marji Skłodowskiej-Curie, zmarłej w bieżącym roku w Paryżu, zaklęła potęgą dłuta i swej własnej duszy w prostą bryłę kamienia. Niby żywa, skupiona w sobie, zamyślona nad tajemnicą istnienia świata i niedoskonałości człowieka, idzie w zaświaty z tą powagą, której nikt słowem głośnem przerwać nie śmie — schodzi z drogi, wierząc, że idzie dalej zgłębiać, tym razem tajemnice — wieczności. Piękne i przepotężne dzieło.

O SS. Franciszkankach na Polesiu — ślicznie opowiada nam posłanka Z. Zaleska na szpaltach „Kurjera Warszawskiego". Mówi jak to one bez pieniędzy, bez pomocy, w gromadce pięciu kobiet, poszły na odludne, ciemne polskie kresy i tam w jakimś ubożuchnym, zapomnianym domku, ze stajenką bez konia i chlewkiem bez świnek, pustą śpiżarką zaczęły gospodarować, bogate — wytrwaniem, wolą i sercem pełnem miłości bliźniego. Przeszkody nie zrażały. Złość ludzka nie dosięgała. Nie widziały jej. Omijały ją. I oto — pisze w konkluzji nasza posłanka, której oko, kierowane zawsze miłością wszystkiego co dobre i szlachetne, a narodowi potrzebne i użyteczne, umie dostrzec i chwycić w lot. SS. Franciszkanki mają już przedszkole w Telechanach. — „Przyjazd mój do Telechan zbiegł się z pierwszym „publicznym występem" przedszkola: było przedstawienie „Boży Roczek", odegrane przez dzieci w Domu ludowym. I — poprostu z rozradowaniem patrzyłam na tę gromadkę, bez zająknięcia deklamującą swoje role, przybrane pomysłowo i estetycznie przez siostry w bibułkowe stroje. Sala klaskała i parę razy wołała: bis! szczególnie, gdy dwóch małych chłopaczków, z całą fantazją zaczęło śpiewać: „Mam pasiczek nabijany"... — Wielka była uciecha. A mnie się ta sala coraz jaśniejszą wydawała, bo placówka kultury, jakiem jest przedszkole Franciszkanek w Telechanach, jest postawiona na wysokim poziomie, choć brak jej takich urządzeń i pomocy, jakie mają warszawskie wzorówki. — Ot, zdobyćby dla sióstr parę tysięcy pożyczki na kupno paru hektarowego folwarczku, (a jest taki — okazyjny, taniutki), to wtedy stanie tam i świetlica dla dziewcząt i szkoła szycia i haftu i szpital, którego na 40 klm. wokół niema, że chorzy mrą w drodze. Aby podstawę zdobyć: własną siedzibę dla zgromadzenia, to rozwinie się ta praca szerzenia polskiej kultury"...

KĄCIK DLA DZIECI

PIERNIKOWE SERCE

W okolistym fartuchu, w czepcu z falbanami i chustce zielonej na piersiach na kaftanie w krzyż przewiązanej — rozsiadła się Mateuszowa szeroko przy kramie swoim i bystrem okiem wokół się obejrzawszy, uśmiechem zadowolenia okrasiła twarz czerwoną. A miała się czego uśmiechać, toć żaden kram tak nie lśnił, nie świecił od pierników świątecznych, nie czerwieniał od kraśnych jabłuszek, nie żółcił się orzechami. Toteż targowała Mateuszowa sporo — znali ją szeroko — bo choć uparta trochę bywała, a w cenie się trzymać lubiła, ale towar pierwszorzędny zawsze dawała i nijakie jej oszukaństwo w głowie nie postało. Jak orzechy — to wszystkie zdrowiutkie, jak jabłuszka — żadne nie obite, a pierniki! to już chyba i toruńskie nie lepsze, miodem pachnące, korzeniami wonne, a takie złocone, lukrowane, że dzieciaki oczy sobie wypatrywały, a buzie jak szerokie rozdziawiały, gapiąc się na te cudności. Gapili się też Stefek i Rozalka z całego serca, — ale i na tem przestać musieli, boć w domu ledwo na chleb powszedni wystarczało — ktoby tam o piernikach myślał. Ale oczy tak nęciły te cuda lukrowane, że codzień choć chwileczkę przystanąć przy nich musieli.

W sam dzień wigilijny zamykała już pani Mateuszowa swój kram, już i kupujących coraz mniej było, a i sama do domu się śpieszyła, wieczerzę wigilijną uwarzyć i ze swoimi opłatkiem się podzielić. Rzuciła okiem wokoło i ujrzała dwie małe figurki, płonącemi oczkami chłonące cuda na jej kramie. Kiwnęła ku nim: — A cóż wy tu tak codzień wystajecie i na moje dobre oczy wypatrujecie? Zmieszały się dzieciaki. — My nic od pani nie chcemy — powiedział chłopczyk. — Ani nic nie weźmiemy — dodała dziewczynka. — No to czegóż tu stoicie? — Bo to takie cudne — wybuchnęły dzieci — jak nie stać na kupienie, to choć popatrzeć miło. — Aha! Nie stać.. mruknęła Mateuszowa i zaraz wypytywać: co i jak? — zaczęła. Pokiwała głową, westchnęła, a wkońcu do torebki włożyła garść orzechów, parę jabłuszek czerwonych — a potem wzięła pasterza z piernika i wielkie czerwone serce i wręczyła to dzieciom: — Macie niebożęta, ażebyście i wy w dzień dzisiejszy radości użyły. Zarumieniły się liczka dzieci, a chłopczyk, starszy i śmielszy, zawołał: — Bóg ci, pani, zapłać! A za to serce z piernika własnem sercem ci kiedyś odpłacę.

* * *

Minęło lat wiele. Postarzała Mateuszowa. Poznikały małe domki, młodość jej pamiętające. Wyrosły wokół wysokie kamienice z błyszczącemi oknami sklepów. Zmalał i ściemniał kram pani Mateuszowej, a i ona sama przygarbiła się, zmalała i — przycichła jakby.

Siedziała raz tak przy swym kramie, wspominając czasy dawnej świetności, jak to kupujący z drugiego końca miasta do niej przychodzili... a teraz — trochę tej biedoty wokół mieszkającej. Do domu się nie śpieszyła, bo już i nikogo bliskiego nie miała. Ściemniało się coraz bardziej. Pora iść — stęknęła staruszka, podnosząc się ciężko — oj, chyba już ostatni rok tu siedzę... — Pani Mateuszowa — odezwał się jej nad uchem głos jakiś. Obejrzy się, koło niej młody piękny pan stoi, serdecznie się uśmiecha — przyszedłem was prosić na wigilję — powiada. — Mnie? — zadziwi się przekupka. — A panią! No pośpieszajmy! — Zawahała się chwilę: — Ale przecież do domu muszę... ogarnąć się trochę... kto pan zresztą?... jakże to?... A pan się śmieje: — Nic nie mówcie, jeno chodźmy. Poczekał chwilę, bo do domu koniecznie pójść chciała. Ogarnęła się trochę i wyszła i aż jej dech wsparło — przed domem czeka ten pan w samochodzie. Zdawało się staruszce, że śni. Ale co ma być, to będzie — przeżegnała się i wsiada. Ani się opatrzyła, jak przed pięknym domem stają — pan jej rękę podaje, po schodach prowadzi. Wchodzą do mieszkania, naprzeciw młoda panienka wychodzi, pod drugą rękę ją bierze i do pokoju prowadzą. Stół suto zastawiony, świateł jarzących pełno, aż oczy zmrużyć musiała, a gdy je znów otwarła, na honorowem miejscu przy stole siedziała, a młody pan z uśmiechem zwrócił się do niej — wskazując na wielkie złote i czerwone serce z piernika na środku stołu leżące: — Dałaś to serce z piernika małemu, biednemu chłopczynie — sercem całem; niechże teraz, gdy poszczęściło mi się w życiu — dotrzymam obietnicy mojej i sercem choć w części za serce zapłacę.

H. Rostafińska-Choynowska.

SZÓSTY GRUDZIEŃ

Siadł święty Mikołaj, głowę wsparł na ręce
I czyta... i czyta... te listy dziecięce.
Listy pełne pragnień i życzeń nieśmiałych,
Obietnic grzeczności... Przyszedł Anioł biały
I pyta świętego, jakie są rozkazy? —
Obróci się Święty z uśmiechem na twarzy:
„Jak rozdzielić dary? — pytasz aniołeczku —
Ano wszystkim trzeba dać coś potroszeczku".
„A tym, co z grzecznością coś czasem nie tego"?...
„Wszyscy będą grzeczni od Roczku nowego".
„Tak mi obiecują w listach te dziateczki —
Tylko dla pamięci dodać im rózeczki...
No, a teraz w drogę, bo już późna pora —
A spory szmat drogi mamy do wieczora"!

H. R. Ch.

BOSKIE DZIECIĄTECZKO

Boskie Dzieciąteczko
Podnieś rączkę małą —
Pobłogosław, proszę,
Mą Ojczyznę całą.
Błogosław Ojczyźnie,
Łąkom, polom, wodom —
I ludziom, co na tej
Ziemi życie wiodą.
Pozwól mi wyrosnąć
Dzieciąteczko małe,
Polsce na pożytek
A Bogu na chwałę.

H. R. Ch.

ZAGADKI

W lesie stała zieleniała —
W izbie od świateł gorzała.

— — — — — — —

Literę dodasz do r a k ó w
Polski to gród stary będzie.
Do r a m dodasz tę literę —
Przekupień przy nim usiędzie.

H. R. Ch.

Redaktor: Dr. Józef Zawidzki. Wydawcy: Stow. Mis. Księży Pallotynów.
Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.
Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej, Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 71.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

REBUS

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

WSZYSTKIM PRZYJACIOŁOM I SYMPATYKOM NASZEGO KĄCIKA ROZRYWKOWEGO PRZESYŁAMY NAJSZCZERSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE!

CZWARTY KONKURS KWARTALNY.
(Zakończenie).

Termin nadsyłania rozwiązań zadań **trzytygodniowy**, licząc od daty otrzymania numeru.
O ile kto z Czytelników z jakichkolwiek przeszkód nie mógł nadesłać rozwiązań z nrów październikowego i listopadowego, może je nadesłać razem za cały kwartał, w terminie wyżej oznaczonym.

7. SZARADA (5 pkt.).

Takie nastały dziś czasy **sześć** świecie,
że człek z swym bliźnim drze **pierwsze i trzecie.**
Miast **osiem-trzecie** słać bratu pod stopy,
z zasadzki, skrycie mordują się chłopy, —
siedem za **siedem** dziś każdy odpłaca.
O! nie zaszczytna to dla świata praca!
Tam z monarchistą wolny demokrata,
ówdzie bolszewik srogie figle płata, —
słyszy się: „**pięć** go, bo to nie nasz człowiek"!
I kat morduje **cztery** mrużąc powiek...
Wczoraj ministra, dziś zabito króla —
i tak na świecie mord i zbrodnia hula!
Czwór jeden powie, że w **czwartem** i **drugiem**
są zapisane losy pismem długiem
biednego kmiotka i możnego pana
i że wyroku nawet od tytana
nikt ludzką mocą nigdy nie odwróci!
Może to prawda, ale mnie myśl smuci,
że nieprawości jest inne podłoże —
(czyż o **dziewiątem** ktoś niewiedzieć może?),
że brak szacunku dla **raz-drugiej-trzeciej**,
dla matki, żony jest powodem kreciej
roboty mętów społecznych i zgrai,
co nienawiści do świata nie tai!
Lekarstwo na to jest proste i trwałe:
Szanuj kobietę, czcij i nigdy **całe**!

A. Mieczkowski (czł. Kl. Sz.).

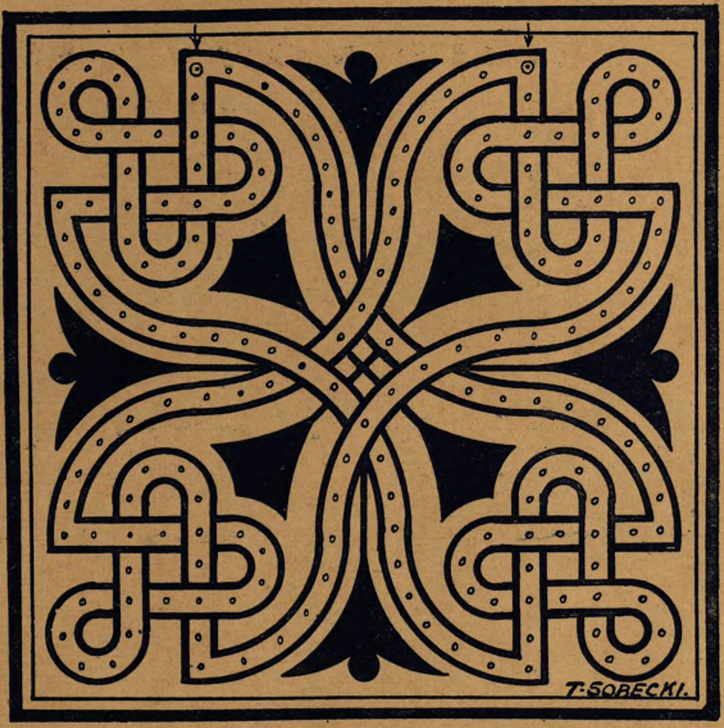
8. KONIKÓWKA (4 pkt.).

▒	ŚCI	CEJ	BA	U	U	▒
SIĘ	TRZE	NA	CIER	WIĘ	PIERW	KA
TA	▒	SZŁO	▒	SIĘ	▒	CZYĆ
GO	PRZY	PIE	W	SZE	NAJ	TO
▒	PRZY	CZE	DA	NIE	BO	▒

Ruchem konika szachowego proszę odczytać aforyzm J. J. Rousseau, który zawsze się... przyda.

E. Wieliczko (czł. Kl. Sz.).

9. PODWÓJNA WĘŻOWNICA-KRZYŻÓWKA (6 pkt.).



Dwie oddzielne figury należy wypełnić literami na miejscu punktów. Początek od punktów wskazanych strzałkami. Końcowa litera każdego wyrazu jest zarazem początkową następnego. Liczba przy znaczeniu każdego wyrazu wskazuje ilość jego liter.

Znaczenia wyrazów.

F i g u r a l e w a: 1. Rękojmia (zabezpieczenie) (9). — 2. Instrum. muzyczny (7). — 3. Miasto na Donem (4). — 4. Model (forma) (4). — 5. Cukier oczyszczony (8). — 6. Pajac (7). — 7. Grzybień (grężel) (7). — 8 Kres (skraj) (6). — 9. Drzewo szpilkowe (8). — 10. Bioskop (12). — 11. Władza duszy odtwarzająca wyobrażenia (8). — 12. Dowcipne krótkie opowiadanie (8). — 13. Wykwintny pokój (10). — 14. Zn. akwarelista polski (6). — 15. Zakład naukowy dla kształcenia duchownych (10). — 16. Astrolog u Persów (3).

F i g u r a p r a w a: 1. Wyzyskiwacz grożący skandalem (11). — 2. Obraz (8). — 3. Rysunek trawiony (9). — 4. Dziedziczność (7). — 5. Ubranie urzędowe (6). — 6. Minerał z rodz. feldspatów (7). — 7. Środek odurzający (8). — 8. Część mechaniczna samochodu (6). — 9. Humor (harmonja) (7). — 10. Pokład rufy okrętu (3). — 11. Gra w karty (5). — 12. Część uprzęży (6). — Rzemieślnik (10). — 14. Litera fonetycznie (3). — 15. Pastylka (tabliczka) (8). — 16 Rożdżeniec (7).

T. Sobecki (Poznań).

10. REBUS (5 pkt.).



Należy odczytać treść rebusu, składającą się z pięciu wyrazów, o następujących literach początkowych: R, t, n, p, ł.

„**J. Alis**" (czł. Kl. Sz.).

11. FIGIELKI SZARADOWE
(po 2 punkty — razem 4).

I. Byłby już Trzeciej-czwartej
pierwszy-drugi,
gdyby nie Cały, i jego
zasługi.

II. Kiedy się ożna często obraża
na małżonka, domu gospodarza,
trzeba, by jej głoskę przyłożono,
a idealną będzie już żoną!

„Smok" (**Kraków**).

12. ZAGADKI
(po 2 punkty — razem 4).

I. Carmen, kto chce może pisać przez „ka", choć pisze się przez „e", rzadko przez „r", można pisać przez „m", nigdy przez „n"! — Dlaczego?

II. Który rzemieślnik **najszybciej** wykonywa swoją pracę?

N. K. Kozłowski (czł. Kl. Sz.).
M. Sł.

---

zachowującą się dość zmiennie, jeśli chodzi o frekwencję stosowaną. Stacja, której pochodzenia nie można było w pierwszej chwili ustalić, przeszkadzała w odbiorze Wilna i Bolzano, które mają wspólną frekwencję 536 kc./s. Stwierdzono wkrótce, że nowa przeszkoda pochodziła od rozgłośni rosyjskiej w Samarze, która, jak się okazuje, stosuje różne częstotliwości. W ubiegłym tygodniu pracowała na fali dowolnej od 540 kc/s do 530. W ostatnich dniach sprawozdawczych Samara przerzuciła się na częstotliwość 668 kc/s, głusząc odbiór rozgłośni angielskiej North Regional, której tę częstotliwość przydzielono na wyłączne użytkowanie.

Prawdopodobnie moc Samary była większa od 10 kilowatów notowanych, gdyż stacja przeszkadzała z powodzeniem w odbiorze bliższego i silniejszego Wilna, a nawet tak bliskiej kontynentowi Europy Zachodniej stacji angielskiej, jak 50-kilowatowa North Regional.